№ 16. Warszawa, dnia 16 (4) Kwietnia 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BEZNADZIEJNE WYSIŁKI.

Jedna z plotek, które nas oblatywały, twierdziła poważnie, że malowanie stron ciemnych życia i obrazów posępnych sprawia nam szczególną przyjemność. Kto temu bzdurstwu uwierzył, ani przypuszcza, jak tęsknimy do barw jasnych, jak mozolnie poszukujemy faktów, z których tryskają promienie i rozchodzi się ciepło. Niestety, faktów takich w życiu naszem coraz mniej, natomiast rozpościerają się widoki pustek jałowych i odłogów lub też trzęsawisk gnijących. Na to wszystko dziecinny optymizm rzuca różową mgłę złudzeń, oskarżając każdy głos krytyczny o złą wolę lub niewiadomość i podtrzymując społeczeństwo w stanie snu niezdrowego i fantastycznych rojeń. Przykry to obowiązek brodzić w bagnie i rozkopywać je, szukać oazy na pustyni spieczonej, lub wreszcie chociażby tylko pobudzać do ruchu leniwych, śpiących i sparaliżowanych.

Dziennik poznański „strapionemu społeczeństwu na dzień Zmartwychwstania" przyniósł radosną nowinę, że „czynności Banku ziemskiego uważać można za rozpoczęte." Niedawno słyszeliśmy, że statut dla rozpoczęcia tych czynności wymaga 3 milionów marek kapitału zakładowego, a zebrano zaledwie kilkadziesiąt tysięcy: słusznie też pyta *Gazeta polska*, co znaczy ta nowina na dzień Zmartwychwstania: czyżby już rozebrano akcye do sumy przez prawo wymaganej? Wątpimy, bo byłby to skok za wielki, a w moralnych i materyalnych warunkach Poznańskiego nieoczekiwany, nadewszystko zaś prasa nie załatwiłaby go wzmianką lakoniczną. „Zakrzątnięto się"— oto i wszystko.

Gryzącą, choć mimowolną ironią brzmi służalcze względem Watykanu dowodzenie *Czasu*, który obok radości, że „niewola (!) watykańska, o wiele od awiniońskiej uciążliwsza, zbliża się ku końcowi," pociesza lud wielkopolski tem, iż „w chwili zamachów ekonomicznych duchowa zawieszona broń," a na dzisiejszą sytuacyę „bolesną," wynikłą z polityki papieskiej, radzi „albo spojrzeć z góry okiem wiary, lub też czekać na sąd historyi." Ażeby osiągnąć dobre wrażenie, należy właściwie na politykę Leona XIII patrzeć z bardzo nizkiego dołu, w którym *Czas* tkwi i czuje się zadowolonym. „Lud wielkopolski" bowiem na „zawieszeniu broni duchowej" nietylko nie zyskał sił do walki ekonomicznej, ale je utracił. Postradawszy głównego i jedynego wodza, papieża, któremu ulegało, Poznańskie przedewszystkiem zdemoralizowało się rozpaczą, stratą wiary w przyszłość, uczuciem niemocy i gwałtowną chęcią ocaleń jednostkowych. Ten prąd rzucił obywateli do komisyi kolonizacyjnej, której ofiarowali na sprzedaż swoje majątki, zwątlił energię ratunkową w innych, powiał jak duszący wicher po całym kraju. I godność poselska nęcić przestała. Ci, którzy dawniej ubiegali się o nią namiętnie, teraz wyrzekli się mandatów, a jeśli ostatnia wieść prawdziwa, nawet prezes Koła polskiego w Berlinie, dr. Szuman, zamierza „cofnąć się do życia prywatnego." Może niedługo niemcy pozostaną w okręgach poznańskich wyłącznymi panami pola wyborczego. A kto im zwycięztwo zapewnił? Leon XIII, ojciec św. katolików. *Czas* prorokuje, że „przejściowe fazy i szczegóły, nawet próby i dyplomatyczne pomyłki znikną w wielkim obrachunku historyi." Niewątpliwie, ale pozostanie w niej ślad samolubnego i niegodziwego ojczymowstwa papieskiego względem swych najwierniejszych aż do ślepoty dzieci, na które ono sprowadziło ciężką niedolę i częściową zagładę. Tego ani z teraźniejszości, ani z historyi nie wygładzą żadne ultramontańskie wykręty, to pozostanie faktem niewzruszonym, a bodajby skałą, o którą się rozbije łódź Piotrowa, dzierżawiona przez niesumiennych rybaków. Jakim sposobem w owczarni Chrystusa, który wyraźnie swych uczniów i następców od szacherek odwodził, można sławić jego namiestnika religijnego za to, że „zwraca się do problematów politycznych i dyplomatycznych," tego nie pojęlibyśmy nigdy, gdybyśmy nie pamiętali o materyalizmie praktycznym i bezwstydnej chciwości tych, którzy z lisią pokorą mienią się „sługami sług" i stróżami dóbr duchowych.

Sprawy bardzo od siebie odległe w pewnych położeniach dziwnie kojarzą się w stosunek zależności. Ponieważ Poznańskie oparło niemal cały swój byt polityczny na opoce papieskiej, straciwszy więc tę podstawę, chwieje się i rozpada nawet w tych wiązaniach, które z religią nie mają bezpośredniego związku. Dawniej we wszelkich przedsięwzięciach czerpano wiarę i nadzieję z potężnej opieki kościoła, dziś to źródło wyschło, społeczeństwo, przywalone ciężarem strasznego ucisku giermanizacyi, nie widząc naokoło siebie mocnej a życzliwej ręki, pogrąża się w zwątpieniu. Psychologicznie całkiem usprawiedliwioną jest ta martwota. Na chwilę zrywa się do czynu dobra wola i zakłada Bank ziemski. Ale wkrótce ręce opadają, bo każdy pyta: na co ten wysiłek? albo on nas wyratuje? albo my zwyciężymy Bismarka w sojuszu z papieżem? I znowu, ulegając pobudkom wewnętrznym lub zewnętrznym, rzuca się i szamocze z trudnem zadaniem szczupła gromadka, ale wkrótce omdlewa w bezsilności.

Obrazem takich szamotań beznadziejnych jest historya Banku ziemskiego w Poznaniu. Wypracowano dla niego statut, uzyskano zatwierdzenie, zebrano trochę pieniędzy, ale między najczynniejszymi nie widać ani jednego człowieka, któryby wierzył

w pożądane skutki tych usiłowań i pracy. „Ażeby nic nie mieć sobie do wyrzucenia“— oto główna pobudka tych działań. Trzeba ją szanować, trzeba szczepić, ale czy można spodziewać się z niej owoców pożądanych?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Emir Afganistanu— zabity, czy też nie— przeciwko któremu zbuntowały się rozmaite plemiona—musi biedak odgrywać naczelną rolę w polityce chwili obecnej, bo jest w niej bohaterem najgłówniejszym. Święta wielkanocne tak opustoszyły Europę z wypadków ważniejszych, że gazety umarłyby z wycieńczenia, gdyby im los nie dostarczył małego zasiłku z Azyi. Ale na nieszczęście widać tam tylko koło Heratu jakąś niezrozumiałą kotłowaninę, której powodu i celu odgadnąć trudno; napadają się, mordują, atakują emira, ale kto te nieświadome ciała rzuca wzajemnie na siebie?

Chociaż zapowiadano, że Bułgarya wejdzie znowu na porządek dzienny, w tym garnku nic się nie zagotowało. Stoiłow wrócił z Wiednia, gdzie podobno otrzymał od hr. Kalnokego taką radę: nie zwołujcie sobrania, nie wybierajcie księcia, nie domagajcie się załatwienia waszej sprawy, bo ona jeszcze *nie dojrzała*. Śliczne słówko, z którego od biedy wysnuć można cały artykuł. Już wiele dzienników to uczyniło. Naturalnie wszystkie te artykuły nie pomogły wcale światu do odpowiedzi na pytanie: kiedyż wreszcie ta sprawa *dojrzeje*? Gracze wojenni mieli nadzieję, że na wiosnę. Tymczasem kwiecień zbiega, ciepło, zieloność, kwiaty, wonie, wszystkie warunki dla wojny gotowe, a ona się nie zjawia.

Co najwyżej tu i owdzie wybucha domowa. Gladstone postanowił jeszcze raz dosiąść rumaka rządowego a przynajmniej Salisburego wysadzić z siodła. W Londynie odbyło się olbrzymie zgromadzenie przyjaciół starego liberała, skierowane przeciwko obecnemu gabinetowi. W całym kraju przytem odbywa się gorączkowa agitacya, ktora wywołać może rozwiązanie Izby, nowe wybory i ministeryum Gladstone'a. Za hasło walki służy okrutny bil irlandzki, naruszający zasadnicze prawa konstytucyi i wydający ludność uciemiężoną na łaskę i niełaskę przemocy. Wiadomo, że Gladstone, nie znalazłszy dostatecznego poparcia w swem stronnictwie, ustąpił z ideą sprawiedliwości dla Irlandyi. Idea ta świeci dotąd nad czołem tego niezmożonego starca; czyż miałby on jeszcze przed zgonem ją urzeczywistnić? Pamiętając o sile oporu — wątpimy.

Grom, który miał zdruzgotać— czyli mocniej do państwa przywiązać—Alzacyę i Lotaryngię, został jakąś niewidzialną siłą wstrzymany w ręku ks. Bismarka. Brennus jednak poradzi sobie. Posła Metzu, Antoine, który w sejmie był przedstawicielem protestu, wydalono; za nim pójdą inne osobistości wpływowe. Wydano cały szereg rozporządzeń, mających oczyścić Alzacyę i Lotaryngię z żywiołów francuskich i nie dopuścić ich napływu. Szlamowanie tej sadzawki odbywa się z taką energią, że niedługo w niej stać będzie czysta woda niemiecka, troszkę słona od łez i gdzieniegdzie zabarwiona krwią kochanych braci, ciemiężonych przez Francyę i „odzyskanych“ od niej po wojnie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY ZE WSI.

III.

Brak spójni.

Doktrynerzy z „za zielonego stolika,“ obrońcy gorliwi szlachetczyzny, na wszystkie zarzuty zwracane ku temu stanowi, odpowiadają: „Patrzcie, jakiem obecnie jest zachowanie się szlachty! Oskarżano ją o lekkomyślność — pracuje; oskarżano o rozrzutność — oszczędza; miano za złe, trwonienie majątków u wód zagranicznych lub w Paryżu — a teraz ziemianie siedzą na wsi, pilnują warsztatu i nawet nie pociąga ich ku sobie letni karnawał!“

Tym dowodzeniom nikt zaprzeczyć nie zdoła, ale szerszy pogląd łatwo doprowadzi do przekonania, że skoncentrowanie działalności w jednym tylko kierunku wywoła następstwa zgubne dla ziemiaństwa, uważanego jako stan w narodzie. Wszystko zdaje się wskazywać, że jeśli dotychczasowe zamknięcie się jednostek w dążeniach samolubnych potrwa dłużej, w bardzo prędkim czasie nastąpi zupełny rozkład jednej z najważniejszych warstw społeczeństwa.

Na chwilę odbiegnę od przedmiotu, żeby się zastrzedz przeciwko zarzutowi, że mówię tu o rolnikach jako o szlachcie, czyli kaście. Tego rodzaju poglądy zbyt są już śmieszne i niestosowne, żeby je w jakiejkolwiek argumentacyi brać za podstawę. Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że ziemianie, uważani jako rolnicy, jako przedstawiciele inteligencyi wiejskiej, tworzą stan, klasę narodu, której cele, obowiązki, działalność ściśle określona, stanowią punkt wyjścia dla zapatrywań na znaczenie, stanowisko i pracę pojedynczych warstw społeczeństwa.

Po krótkiem tem zboczeniu, wracam do poprzednio wyrażonej obawy, że wnosząc z tego, co obecnie widzimy, dalsze istnienie stanu ziemiańskiego bardzo jest zachwianem.

W poprzednim liście wspomniałem o pracy organicznej, stanowiącej dziś jedyne hasło programowe ziemiaństwa. Jak praca ta pojętą została — objaśniłem, teraz zatem przyjrzyć się należy, co ona dała swym wyznawcom?

Borykające się z losem jednostki nie mogą powiedzieć, żeby zwrócenie się ich na drogę rzeczywistej pracy, oszczędności i rachowania tylko na siebie, przyniosło świetne rezultaty. Zewsząd słyszymy o przesileniu, upadku kredytu, licytacyach przymusowych i o zmniejszającej się zamożności. Są to jednak objawy nietylko w kraju naszym spostrzegane, bo cały świat rolniczy je dźwiga. W tem zatem położeniu, oddziaływając przeciwko kataklizmowi, chcąc zmniejszyć jego doniosłość, słusznie chwyciliśmy się najskuteczniejszych środków zażegnania burzy: pracy— rachunku—oszczędności.

Są to podstawy, wzmacniające byt materyalny.

Okazuje się jednak, że nie dość silni, a zwłaszcza nie dość umiejętni, nie umiemy we wszechstronnych kierunkach rozwijać naszej działalności.

Wrażenia, jakie dziś się odnosi, patrząc na życie ziemiaństwa, dodatniem nazwać nie można. Te folwarki i folwarczki dadzą się porównać do szeregu fortów, mających bronić twierdzy. Elementarna taktyka nakazuje, żeby pomiędzy pojedyńczymi fortami

---

2)

POWIEŚĆ.

NERWOWI

przez

Peschkau.

Źle było. Nie mogłem ukryć niezadowolenia, a to jeszcze więcej rozdrażniło moją żonę. Nastąpiła mała scena, podczas której Liza wymówiła mi, że zawsze przyznaję słuszność służbie, „ją“ zaś systematycznie prześladuję; i kto wie, jakie by jeszcze nastąpiły oskarżenia, gdyby nie odgłos dzwonka.

— Zapewnie doktór — rzekłem i, korzystając ze sposobności, opuściłem pokój.

Był to w istocie nasz lekarz, a gdy mu opowiedziałem zajście, wzruszając ramionami, rzekł:

— Oboje jesteście nerwowymi. Musicie zmienić zwykły tryb życia. Weź pan urlop i udaj się z żoną na sześć tygodni do Meranu lub Abazyi, a gdy wrócicie, radziłbym pani częściej pozostawać w domu, kłaść się co wieczór o dziewiątej do łóżka a pan powinien pożegnać się ze swoją ambicyą polityczną.

— To być nie może — odpowiedziałem stanowczo.

— W takim razie pomódz nie umiem, zresztą dla pani zapiszę esencyę z opium; nie jest to środek radykalny ale dla chwilowego uspokojenia, gdyby pani została wezwana do magistratu w sprawie służącej...

Doktór zapisał lekarstwo, a za godzinę rzeczywiście nastąpiło to, co przewidywał. Siedzieliśmy właśnie przy stole po obiedzie, moja żona zajadała migdały, Karol zapalił cygaro a ja fajkę, gdy służąca oznajmiła, że przyszedł woźny. Przyniósł wezwanie mojej żonie, ażeby o godzinie 5 stawiła się do policyi. Zaledwie przejrzała podaną kartkę, gdy zbladła jak trup, zalewając się łzami.

— Idź do swego pokojn — rzekłem do syna. A ty nie bądź dzieckiem! Sama sobie nawarzyłaś piwa.

— Ach, Henryku — Henryku — ty nie wiesz wszystkiego!...

Nerwowe łkanie przerwało jej słowa.

— Jeszcze nie wszystko?! — zapytałem przestraszony.

— Krew się polała!

Teraz ja zbladłem.

— Lizo, czy ty śnisz?

— Nie, nie... Nie chciałam... Nie wiem, jak się to stało... Nie chciałam jej bić... Nie widziałam, co się ze mną dzieje... A pierścionek... pierścionek, widzisz ten pierścionek... zapewne zadrasnął jej policzek. Krew trysła... Tak, widziałam to... o mój Boże!

Rozdrażniony przechadzałem się po pokoju. A więc zaszło już tak daleko — moja żona dopuściła się występku!

Oj, młodzieńcy! jeżeli macie sobie wybrać towarzyszkę życia, poradźcie się pierwej doktora i każcie wypróbować jej nerwy. Lekarz miał racyę! Straszne widoki zarysowały się w mojej wyobraźni... Moja żona oskarżona o skaleczenie... Moja żona w więzieniu... Na Boga, przysięgam, że gdy doczekam takiej hańby, rzucę się w nurty rzeki albo zarżnę się. W więzieniu, żona moja w więzieniu! A ja samobójca, nasz syn, nasz Karolek... Tak, doktór miał słuszność! Te straszne nerwy, dokąd one nas mogą doprowadzić.

Ażeby się uspokoić, wyszedłem z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Następnie biegałem w swoim gabinecie, jak lew uwięziony w klatce, później rzuciłem się na kanapę i puściłem wodze okropnym myślom. Były to straszne obrazy przyszłości, które jak cienie szły za mną; ogarnęła mnie czarna rozpacz. Od czasu do czasu przysłuchiwałem się, czy żona moja nie przychodzi. Lecz nadaremnie, nie ustępowała. Przecież ona uważa się za niewinną, obrażoną!

Wybiła godzina piąta. Otworzyłem drzwi i wpadłem do kuchni.

— Czy moja żona wyszła?

— Wyszła.

była ciągła łączność, żeby jedne bronić mogły drugich, w przeciwnym bowiem razie nieprzyjaciel łatwo je zdobędzie i zwycięzki zatknie sztandar. Szańce zaś, mające bronić ziemiaństwa, w żadnej między sobą nie zostają łączności, a dowódcy ich, zapatrzeni w wały i fosy własnej warowni, obojętnie spoglądają na sąsiednie, niepomni, że ich stanowisko wtedy tylko będzie silnem, gdy oprze się na całym systemacie obrony taktycznej.

Życie towarzyskie zamiera na wsi. O ile dotyczyło ono bezmyślnych rautów sąsiedzkich lub preferansa, nie należy go żałować. Ale chwili, gdy myśl i czyn w zbiorową formę ujęte, najsilniejszą winny być dźwignią stanu ziemiańskiego, zasklepienie się rolników, ich odosobnienie, brak spójni sąsiedzkiej i towarzyskiej między nimi, do reszty zatraca ślady solidarności, nie pozwalając na skuteczne przeprowadzenie zbiorowemi siłami wielu użytecznych przedsięwzięć.

Ślepy chyba nie widzi, że drogą stowarzyszeń rolnicy mogą znakomicie ułatwić sobie prace, spełnić zadanie, przechodzące siły jednostkowe. Stowarzyszenia mogłyby znaleźć u nas olbrzymie dla siebie pole. Ubezpieczenia ogniowe i od gradu, spółki komandytowe, spółki nabiałowe, zbiorowe zakupywanie maszyn i reproduktorów, słowem, cały szereg melioracyj i urządzeń, nie inaczej, jak za pomocą stowarzyszeń, da się osiągnąć.

Lecz co tu mówić o środkach takim ludziom, którzy wtuliwszy nos w warsztat otoczony kopcami folwarcznymi, zapomnieli, czy nie wiedzą, że po za nimi jest cały świat myśli i zbiorowej pracy ludzkości!

Nie mało do obałamucenia pod tym względem opinij przyczyniły się rozmaite konkursy i kwestyonaryusze, powołane do życia w ostatnich czasach. Rezultat ich już pokazał, że nie przyniosły — bo przynieść nie mogły — spodziewanych korzyści, a przez długi czas utrzymywały one wiarę ziemian w słodkiem złudzeniu, że rozstrzygnięcie pytania: jaki wpływ wywrze przekopanie kanału Panamskiego? — decydująco oddziała na poprawę położenia. Jakże to przytem słodko było pomyśleć przeciętnemu szlachcicowi, że może już teraz spokojnie w przyszłość spoglądać, nie przyłożywszy do niczego ręki, bo tam w Warszawie, delegacye wybrane z grona naszych „znakomitych," dniami i nocami kują a kują przepisy, mające stanowić niezawodne „panaceum" dla zamierającego na bezkrwistość ziemiaństwa!

Uśpiona myśl zbiorowa nietylko zapoznaje korzyści korporacyjnego działania, ale zaniedbuje nawet tak elementarne środki, jak urządzanie wspólnych pogawędek rolniczych, zwiedzanie gospodarstw wzorowych lub ustanowienie rad gospodarczych.

Gdziekolwiek zajrzysz w ten świat, wszędzie jeden widok cię uderzy: bezsilne szamotanie się jednostki, której nikt ręki nie poda i która sama tego nie rozumie, że podawszy rękę innym, sama ocaleje i innych uratuje.

Nie przeczę, że w teoryi ziemianie odczuwają znaczenie zbiorowej działalności, lecz niema między nimi ludzi inicyatywy, którzyby pierwsi do czynu wystąpili. Cały zaś ogół, bezsilny i bezradny, zasłania się tym kapitalnym frazesem: przeciwności! Ależ, panowie, wyczerpcie przedewszystkiem środki, których stosowania nikt wam nie broni, a jeśli te w niczem położenia nie poprawią, dopiero będziecie mogli mówić, że siła wyższa paraliżuje wszystko, co sprowadzić by mogło zmianę na lepsze.

Wygodny ten parawanik, którego tło ubarwiono „przeciwnościami," nietylko w tym kierunku stanowi obronę.

Bo oto drugi przykład:

Choćbyśmy najsilniej byli przekonani o żywotności inteligencyi wiejskiej, choćbyśmy gwałtem wmawiali w siebie, że szlachta *fara da se!*—należy raz bielmo zrzucić z oczu i przyznać, że jesteśmy już za słabi, by na losy społeczeństwa wpływ silny wywierać i że bez oparcia się na innej jakiej warstwie narodu nie zbudujemy nic.

Każdy chyba wie dobrze, że warstwą, z którą najłatwiej iść może inteligencya ziemiańska ręka w rękę, jest lud wiejski. Nie będę tu rozbierał zasadniczości tej tezy, uznanej za słuszną przez wszystkich, a zwłaszcza przez szlachtę, która dobrze rozumie, jakie nieobliczone korzyści wypłynąć by mogły z tego zbratania się dwóch stanów, wspólną niwę pracy uprawiających i których interesy pod wielu względami są identyczne.

Nie dość jednak rozumieć pożyteczność rzeczy, trzeba je chcieć i umieć w czyn wprowadzić.

Ale jeżeli pod względem wyrobienia solidarności pomiędzy ziemianami nie robi się prawie nic, to w kierunku oddziaływania na lud nasza szlachta najzupełniej negatywne zajęła stanowisko.

Część jej — niestety — do tej pory jeszcze uważa chłopa za pół-człowieka, część widzi w nim siłę, przypisuje pewne przymioty, radaby coś zrobić, ale nie wie, jak się wziąść do rzeczy.

Ta część druga przytem zasłaniać się zwykła parawanikiem, o którym mowa. „Zrobiłoby się to i owo, mówią, ale przeciwności nie pozwalają!"

Jakież to śmieszne! Nie przeczę, że swoboda działania wielce jest ograniczoną, ale czy już rzeczywiście nie ma ani jednego punktu wyjścia? Czy na zebrania gminne mamy wejście zamknięte? A przecież sama choćby tylko obecność na nich stwierdzi tożsamość interesów dwóch stanów, wyrobi w włościaninie to przekonanie, że o wspólne dobro nam chodzi. Czy niema możności okazywania ludowi życzliwości, bądź w chorobie, bądź w troskach jego, bądź dostarczając mu książek pożytecznych, ułatwiając korzystanie z udogodnień gospodarczych, w rozporządzeniu większej własności będących? Czy wreszcie nie codzień, nie na każdym kroku spotyka „pan" „chłopa" i czy nie nadarza mu się sposobność oddziaływania dodatnio na moralność i oświatę ludu? Są to na pozór środki drobne, których zajęci śledzeniem przebiegu obrad parlamentu niemieckiego, zaniedbujemy — ale ciągłość w ich stosowaniu doprowadziłaby do celu i przekonała zwłaszcza, że rozumiemy zadania obywateli kraju.

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

IV.

Komentarz, może nie zbyteczny do „Wyboru pism Leopardiego," spolszczonych przez Porębowicza. — Pesymiści filozofowie i pesymiści poeci. — Schopenhauer i jego poglądy polityczne w opracowaniu p. Lipnickiego.

Czyś widział kiedy cyprys smukły na włoskiem *campo-santo*? Cichy a zadumany

---

— Czy kazała sobie przygotować lekarstwo?

— Tak.

— Gdzie jest flaszeczka?

— W pokoju pani.

Wszedłem. Lekarstwo stało na stoliku. O, te kobiety! Nawet w największem rozdrażnieniu nie zapominają o własnej korzyści! Wziąłem flaszeczkę, wyjąłem korek i dotknąłem ustami płynu. Tak, to powinno i mnie uspokoić. Gdym zażył kilka kropel, zdawało mi się, że krew spokojniej krąży w moich żyłach. Następnie udałem się z powrotem do gabinetu. Ale nie mogłem tam długo pozostać — nagle napadła mnie dziwna żądza rozrywki, przygód. Raz, dwa i byłem już na ulicy, a przedemną budynek ratusza. Tam nęciła mnie moja ambicya. Ale, oto oczy moje zatrzymały się na ogromnym, kolorowym afiszu sąsiedniego domu: „Walhalla." Już zaczęło się ściemniać, światło elektryczne zapalono, różnobarwne maski przesuwały się przez wązką uliczkę, demonicznie wabiąca muzyka odbijała się o moje ucho. Prawie bezwiednie szedłem za dźwiękami coraz dalej — aż stanąłem na środku sali balowej. Co się tu działo! Co za hałas i ścisk! Żarty i drwiny! A te błyszczące oczy, pstre kostiumy, gorące, odurzające powietrze. Kręciłem się, nie zwracając uwagi na dowcipne słówka i żarty. Dozwoliłem nawet, by swawolna maseczka wzięła mnie pod rękę i nie zatrzymałem jej, gdy znudziwszy się milczącym towarzyszem odeszła, aby poszukać sobie lepszej zdobyczy. Ale co to było? Te kędzierzawe, jasne loki, te figlarne oczki — tak, tak, to Łucya Ramzon, bezwątpienia, miała właśnie broszkę z niezapominajkami. Śledziłem ją, lecz wymknęła mi się. Później znowu przesunęła się przede mną, uśmiechnięta drwiąco, i znowu straciłem ją z oczu. Nakoniec przytrzymałem ją, a słuchając tego piskliwego głosiku znów wątpiłem, czy to Łucya Ramzon. A jednak była to ona, zmieniła głos, mówiąc ze mną, i gdy wlokąc mnie całą godzinę nakoniec zdjęła maskę i uśmiechnęła się, znowu zobaczyłem tę cudowną twarzyczkę, którą podziwiałem zrana.

Siedzieliśmy w ubocznym salonie, szklanki brzęczały — wino szampańskie pieniło się, lecz pomimo usilnego starania celu nie dopiąłem — nie mogłem wybadać tajemnicy posiadania broszki. Mówiła, że kupiła ją u jubilera i przytem obstawała, nie zważając na moje groźby i prośby.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy — nie zaprzestałbym prędko dalszego badania, gdyby tuż obok mnie nie rozległ się szyderczy śmiech. Odwróciłem się i zobaczyłem Antosię. Pociemniało mi w oczach — nic więcej nie widziałem.

Następnie wezwany zostałem do sądu. Moja żona oskarżona o przelew krwi, Antosia o kradzież. Miałem świadczyć. Gdy składałem przysięgę, zdawało mi się, że dziewczę naśmiewa się ze mnie. Na pierwsze pytanie sędziego odpowiedziałem głośno. Następnie — o Boże — czy do tego musiało dojść? Następnie sędzia wyrzucał mi, że według zeznania oskarżonej Antosi, siedziałem w sali Walhalli z maską, która miała broszkę mojej żony.

Spojrzałem na żonę— była blada, drżąca, a oczy błagalnie zwróciła ku mnie, jakby chciała mówić:

— Nieprawdaż Henryku — to jest kłamstwo, wierutne kłamstwo? Ty nie jesteś wiarołomnym. Tyś niezdolny do podobnego postępku.

Posunąłem wzrok dalej — tam siedzieli moi koledzy, tam członkowie rady związkowej, tam redaktor pisma współzawodniczącego— jak on się złośliwie uśmiechał, co za radość tryskała z jego oczu! Zdawało mi się, że centnary przyciskają moją pierś, że koła młyńskie wirują w mojej głowie. Prawie bezprzytomnie, jakby pod klątwą wzroku otaczających, ochrypłym głosem, wybełkotałem odpowiedź: „Kłamstwo—obrzydliwe kłamstwo — wymysł winowajczyni! Nigdy, nigdy nie byłem na podobnem bezdrożu!.. Sędzia spojrzał na mnie ostro, a ja powtórzyłem śmiało i dobitnie to wszystko, com powiedział.

Po chwili powlekli mnie do więzienia i usłyszałem za sobą: „Precz z krzywoprzysięzcą." Nieszczęścia spadały na nas ze wszech stron. Ja — krzywoprzysięzca — mój syn złodziejem; schwycono go w pe-

stoi pośród marmurów pysznych. Próżno róża stulistna oplata go lubieżnemi ramiony i wonną główką tuli się, jak gdyby o pocałunek błagała. Daremnie czeladka kwiecia bujnego snuje się dokoła, blaskami słońca igra i do wesela kusi. On nie słyszy głosów pieszczonych i płacze nad popiołami, z których korzonki jego już może soki ciągną.

Czyś czytał pieśni Leopardiego? Jeśli tak, toś widział najpiękniejszy cyprys, jaki wydała Italia, to pojmujesz stłumione jęki bólu nad nędzą tego świata, która jak żmija jadowita pod liśćmi pięknego krzewu, kryje się pod maską codziennych uciech. Ponury to śpiewak i posępniejszy jeszcze myśliciel: samotny w swej niedoli, bo go otacza natura wiecznie młoda i istoty dyszące żądzą szczęścia i użycia. Dziw, jak się tam pomiędzy te pałające oczy i pogodne wejrzenia zabłąkać mogła twarz smutna, łzami zroszona. Łatwo zrozumieć gorycz i zwątpienie na tle surowych chłodów północy, kędy uczucie zwarzone mroźnym wichrem, cofa się w ciemnię duszy i swą niewolę rozpamiętywa; ale jak wytłomaczyć rozpacz, wielką i bezdenną pod lazurową kopułą nieba, w powietrzu ciężkiem od zapachów lauru, mirtu i pomarańczy, w atmosferze brzemiennej wielkością Romy i Hellady? Czegóż tam brak? Chleba? Ziemia odpycha rękę oracza i zżyma się pod jarzmem pługu, bo sama potrafiłaby człowieka nakarmić. Ciepła i światła? Słońce z królewską szczodrobliwością niemi szafuje. Miłosnego uścisku? Namiętność pali tam serca trawiącym żarem. Myśli i formy? Wiedza i sztuka bratnie podały sobie dłonie i potężnie niegdyś duchem ludzkim władały.

Tak — lecz dzisiaj inne czasy, odmienne losy. Złota gwiazda Italii długo była zaćmioną, zasnutą grubemi chmurami. Pierzchają one powoli, ale jeszcze odrodzenia zupełnego nie przyniosły; po kajdanach zostały krwawe pręgi na rękach, a stężałe ramiona leniwie biorą się do pracy. O ileż gorzej było, zanim więzy pękły! Leopardi żył właśnie wówczas, gdy reakcya po orgiach rewolucyi srożyła się w Europie jak dżuma, gdy „święte przymierze“ czarnem skrzydłem ogarnęło ludy i oddech swobodny tamowało. Kler, przydławiony w ubiegłem stuleciu, wydobył z za ślimaczej skorupy rogi. Burboni i Habsburgowie ogniem i mieczem tępili resztkę wolności. Była to fatalna epoka, w której poezya i literatura jednocześnie we wszystkich niemal krajach ozwały się żałosną nutą. Orłów nie brakło—walka z wiekami średniemi stworzyła ich moc, ale im kule u nóg zawieszono i kazano trzymać się blizko ziemi wówczas, gdy one do obłoków się rwały. Więc powstał płacz i zgrzytanie zębów, więc poczęto wyklinać świat, a z nim i życie ludzkie, zasklepiać się w własnych myślach i przemocą spętanych pragnieniach, Bogu i naturze ciskać złorzeczenia, uciekać z pod strzechy domowej, szukając zapomnienia w tułactwie. Tak czynił Byron, Mickiewicz, Lermontow, Shelley, Musset, Heine, Lenau. Z nimi i Leopardi, którego ojczyzna tem boleśniej jęczała, że pamiętała o sławnej przeszłości. Wprawdzie nie był on działaczem politycznym i trzymał się zdala od ruchów i spisków, ale trapiło go srodze położenie kraju. W gorących strofach wzywał rodaków do broni i ledwie dwudziestoletni młodzian wzbudzał niemi zapał. Szydził okrutnie z żołnierzy włoskich, wysługujących się obcym rządom; powoływał się na pamięć Danta, pytając, czy już na zawsze serce jego odwróciło się od znękanych ziomków. A tymczasem pesymizm wzmagał się, bo rzeczywistości nie można było odwrócić nagle, jak kartę w księdze.

Były i inne, bardziej osobiste przyczyny melancholii. Biedny Giocomo nie posiadał warunków do szczęścia. Ciało jego było rachitycznie osłabione, skłonne do chorób, a w piersi tkwił zaród śmierci. Nawet klimat rodzinnego miasta (Ricanati) był dlań za surowy i zmuszał do ustawicznej włóczęgi po innych łagodniejszych okolicach półwyspu, jak Florencya, Rzym, Neapol; a przytem samowiedza trzeźwa, właściwa tylko umysłom silnym, obca słabym, które do ostatniego tchnienia łudzą się nadzieją cudownego uzdrowienia, albo ślepi są na własne kalectwo. Straszna ta trzeźwość oswoiła go zawczasu z myślą o skonie, a nawet kazała tęsknić za nim, jak za tkliwą kochanką, niosącą spokój i pociechę. Nie pragnął nic, prócz, by życie jego wyszło na pożytek bliźnim. Pracował dniami i nocami, gotów ducha nad księgami wyzionąć, byleby tylko pozwalały chore oczy, co na całe miesiące przesłaniały mu widok drogich przyjaciół, cudnych krajobrazów, i na bezczynność gorszą nad wszelkie cierpienia skazywały. Dziwnie doprawdy, smutne te koleje przypominają Krasińskiego. Ten sam panteizm, ten sam pociąg do rojeń rozpaczliwych i skarg rozdzierających, te same męki cielesne. Jerio Leopardi mniej miał hartu. Dusza wiła się z boleści, głód niebytu szamotał się z brakiem odwagi. Daremnie marzył o samobójstwie; sam przyznaje, że dłonie odmawiały posłuszeństwa.

Dodajmy do tej litanii plag najgorsze stosunki z rodziną, a zwłaszcza ojcem, z którym nie łączyło go nic prócz krwi, niedostatek materjalny, od biedy łatany pracą literacką i całą ową chmarę przykrości, która czepia się ludzi wątłych i ubogich — a otrzymamy wiązankę czynników, zdolnych rozmiękczyć naturę granitową, a cóż dopiero niedołężną fizycznie. Optymizm w takich warunkach byłby anomalią. Policzyć je i rozważyć dokładnie dosyć jest, ażeby wobec beznadziejności poety-filozofa znaleść się jak wobec koniecznych a oczekiwanych następstw. Mógł że przemawiać inaczej, jak ironią i śmiechem, wyduszonym z połkniętych łez? Mógłże śpiewać hymny na cześć bóstwa i porządku we wszechświecie? Im większa zachodzi sprzeczność między jednostką a otoczeniem, im dosadniej i jaskrawiej maluje się na jego tle własna krzywda, tem katusza musi być okropniejsza. Leopardi gromkim głosem wołał, że świat to chaos, a natura nie dba o dzieci swe i dbać nie może. „Wiedz, mówi ona, że we wszystkich mych dziełach i procesach mam na względzie zupełnie co innego, niż szczęście lub niedolę ludzką“ („Islandczyk i natura“). Tristan, bohater jednego z dyalogów prawi: „Gdyby mi dano do wyboru, z jednej strony tryumf i chwałę Cezara albo Aleksandra, wolne od wszelkiej zmazy, a z drugiej pewność, iż dziś jeszcze zamknę powieki, odrzekłbym: chcę umrzeć dzisiaj — i ani chwili czasu do namysłu nie żądałbym.“ Niechaj nikogo nie wprowadza w błąd, że w listach swych Leopardi często wspomina Boga i na imię jego przysięga. Było to raczej nawyknienie, niż dowód istotnej wiary; żadna postać religii nie godziła się z przekonaniem o bezrządzie powszechnym. Przeciwnie, drwił z łatwowiernych prozą i wierszem satyrycznym, a owa gadka, że na schyłku żywota wyrzekł się swej metafizyki, jest śmiałym wymysłem i pospolitym manewrem jezuitów; fałsz jego dowodnie wykazał Gioberti.

Leopardi jest najgłębszym i najszczerszym z pesymistów. Żaden z myślicieli i poetów tego kierunku nie wytrzymuje z nim porównania. Pierwsi rozumem kła-

---

wnym sklepie, również jak i syna radcy M. — a na pytanie, dla kogo kradnie koronki, otwarcie wyznał: dla Łucyi Ramzon. Gdy zrewidywano jej mieszkanie, znaleziono tę nieszczęsną broszkę. Mój syn ją ukradł — Karol — nasz syn! Gdy badano Łucyę Ramzon, powiedziała, że byłem z nią owego fatalnego wieczoru na balu Walhalli. Tak — a teraz leżałem w więzieniu na wiązce słomy, następnie — następnie stałem w sali sądowej, jako oskarżony — szydercze oczy znowu były na mnie zwrócone. Wszyscy świadczyli przeciwko mnie—wszyscy — wszyscy! Nareszcie przemówił nasz lekarz. Głos jego dźwięczał przyjemnie. Mówił o swoich walkach, o swoim powołaniu, nerwach, o nieszczęsnej kłótni ze służącą, której skutki strasznie oddziałały na moje nerwy. Nagle przypomniałem sobie wstępny artykuł o krzywoprzysięztwie i żałowałem, że nie poradziłem się doktora, który teraz umiał wszystkie zagadki psychologiczne tak zwięźle i zrozumiale wytłomaczyć, a ja musiałem się nad tem tak męczyć. Teraz znowu mówił coraz głośniej. Naraz ktoś schwycił mnie za ramię i wstrząsnął, ręka czyjaś przemknęła się po moich oczach — co to było?

Zerwałem się i spostrzegłem doktora, a przy nim Antosię i moją żonę.

Więcej nikogo nie było, a zamiast ścian sali sądowej, zobaczyłem ściany mojego gabinetu. Lekarz śmiał się a moja żonka była weselsza, niż się spodziewałem.

— Cóż to jest? — wybełkotałem i teraz dopiero spostrzegłem, że leżałem ubrany na sofie.

— Co się panu śniło? — zapytał doktór, wciąż uśmiechnięty.

— Straszne rzeczy — ale czy to być może, żem tylko śnił?!

— Były to halucynacye, kochany przyjacielu. Pańskie nerwy są bardzo rozdrażnione, a przytem zażyłeś opium w zbyt wielkiej dozie.

Zdziwiony wstrząsnąłem głową.

— Niemożebne, która teraz godzina?

— Szósta. Pan tak leżałeś najwyżej pół godziny.

— A Antosia?

Moja żona zarumieniła się.

— Znalazłam broszkę w kieszeni szlafroczka, ale tego ci nie powiedziałam, nie chcąc cię rozdrażnić. Antosi dałam podarunek i cała sprawa załatwiona.

— Napij się pan trochę wody — rzekł lekarz. Czy panu już lepiej?

Zdaje mi się, żem wyzwolony z piekła — krzyknąłem i skoczyłem. Ale znowu upadłem na sofę.

— Strasznie jestem zmęczony — nie mogę...

— To odpocznij pan cokolwiek i opowiedz nam, co też ci się śniło.

— Straszne rzeczy, straszne!

— Antosiu, przynieś wino i sucharki — powiedziała żona, a ja zacząłem opowiadanie.

Gdy skończyłem, doktór poklepał mnie po ramieniu.

— Winszuję panu. Logiczniej śniłeś, niż wielu ludzi myśli. Niech ten sen będzie dla pana przestrogą. Takie wypadki mogą się zdarzyć tylko jednostkom z rozstrojonymi nerwami. Czy państwo mię teraz posłuchacie?

Podał nam swoje ręce, ja dostałem prawą, żona lewą i oboje wyrzekliśmy, uśmiechając się:

— Tak.

— To dobrze, a teraz wypijmy na znak dotrzymania słowa.

Szklanki zabrzęczały, a mnie się zdawało, że już dawno nie słyszałem tak wesołego dźwięku. Uścisnąłem rękę żony i doktora.

— Wiecie co? — dodałem — chodźmy do Teatru rozmaitości, wszakże to dzisiaj benefis Łucyi Ramzon. Czy zgoda?

Żona kiwnęła główką, a doktór, grożąc mi palcem, rzekł:

— A jutro pakować manatki i dalej na południe! W przeciwnym razie znów panu zapiszę halucynacye.

Tłom. *A. E.*

mią uczuciu, teoryą — praktyce. Jedyny chyba Mailander był zgodny z sobą. Schopenhauer z genialnym umysłem łączył małoduszność, a strata paru tysięcy marek przyprawiała go o szał. Człowiek, co na chwilę nie przestaje bać się kradzieży i wysila mózg na wyszukanie bezpiecznych skrytek dla swego grosza, filozof, któremu włosy na głowie jeżą się na odgłos buntu w... jamie brzusznej, chyba na miano głęboko wątpiącego i zniechęconego do życia nie zasługuje. Kuglarstwo Hartmana zbyt dobrze jest znane, ażeby mogło rościć prawo do nazwy systematu. Pozostają poeci, ludzie, co czują za miliony i za miliony cierpią. Ich pesymizm jest przynajmniej odczutym, jest prawdziwym wyrazem zewnętrznego nastroju; jedyny to rodzaj zgorzknienia, który, zdaniem mojem, płynie z głębi duszy i wylewa się wstrząsającemi jeremiadami, zamiast przybierać kształty naciąganych doktryn. Ale pośród tej iście arystokratycznej rzeszy, Leopardi pod jednym względem zajmuje pierwsze miejsce: gruntowniej od innych przeczuł i przetrawił swoją boleść. Nie zostawała ona nigdy na łasce rozpusty i cygańsko-literackich pohulanek, praktykowanych przez Byrona, Musseta i Heinego i nie wybuchała z należytą siłą, dopiero po nieprzespanej, na orgiach spędzonej nocy, ale była mu towarzyszem poważnym, była czuciem, wolą i myślą. Leopardi przedziwnie ukształtował w sobie stosunek uczonego do wieszcza. Rzec można, że połączył ich równoważnie, stwarzając harmonię, o której tylu pisarzów przed nimi i po nim marzyło. Przyjrzawszy się jednak zblizka, dostrzeżesz rychło, że te pozornie wrogie sobie zdolności, są tylko parafrazami jednej i tej samej treści. Pesymizm, choćby najpoważniejszą zbrojny nauką, jest i nie przestanie być nigdy *uczuciem*, punktem widzenia *podmiotowym*, egzaltacyą, wybornie nadającą się do tragedyi. Żywioł to nawskroś poetyczny, ogólno-ludzki, urokiem nieprzepartym potężny, krytyką chorób społecznych zasłużony. Ostatecznie więc harmonia owa nie jest niczem innem, jak dwojaką formą tego samego rozdźwięku, który może się zaostrzać, ale i łagodnieje czasem. Nawet Leopardi, zdawałoby się iż do szpiku kości stoczony przez robaka nudy i apatyi, miewał jasne chwile. Ilekroć wiosna schodziła na ziemię, okrywając pola zieloną runią, a na drzewach pokazywały się świeże pędy — i do jego duszy zakradało się światło. Gdy po długim letargu ocknął się nad brzegiem lazurowej toni zatoki neapolitańskiej, odżył na nowo; żałobne dumania przerywał, niedaleki od zamachu na własne teorye. Miłość i młodość sławił i z trwogą patrzył, jak dni i godziny rozkwitu uciekają w przeszłość... Możnaż jeszcze wątpić, że filozofia rozpaczy nie jest prawdą matematyczną, ale wytworem subjektywnym, skoro najpotężniej przez nią opanowani każdej chwili zdolni są do odszczepieństwa?

Grzechem przecież byłoby przeoczać różnicę, jaka zachodzi między pesymistą myślicielem z zawodu, a poetą. Zestawmy humanitarność Leopardiego z oschłym, brutalnym i pogardliwym tonem, jakim rozbiera Schopenhauer zagadnienia państwowe, a okaże się cała niższość moralna jego szkoły. Dopomoże nam ciekawa praca p. Eugeniusza Lipnickiego, drukowana w *Bibliotece warszawskiej* *). Podczas gdy tamten boleje nad niewolą ojczyzny, kocha ludzi, ceni druhów, wielbi pracę i wszystko, co może społeczeństwu cierpienia umniejszyć, pustelnik frankfurcki w żelaznych dłoniach radzi trzymać narody, kpi ze swobód konstytucyjnych, nie wierzy w dojrzałość tłumów i radby widzieć w Europie nieograniczony despotyzm wschodu. Tamten na Napoleona rzuca klątwy, ten cieszy się, iż odnalazł w nim wybitny przejaw złej a bezwiednej woli i całkiem go usprawiedliwia. Leopardiemu Włochy zawdzięczają otuchę do boju z ciemiężcami, Schopenhauer umocnił w niemcach wiarę w prawo przemocy i gwałtu. P. Lipnicki idzie nawet za daleko, bo przypisuje wpływowi jego całą dzisiejszą politykę wewnętrzną i międzynarodową Niemiec, ich mądrość stanu i etykę. Czy nie za wiele? A gdzież się podzieli twórcy państwa policyjnego, gdzie Hegel z swą obroną istniejącego porządku? Dzisiejsza Germania jest potworem bynajmniej nie nowej daty, ale ostatniem słowem ducha narodowego, starego jak kult pięści. Nie wiem dlaczego epokę Schillera i rok czterdziesty ósmy przyjęto stawiać teutonom za wzór i podawać za normalne objawy niemieczczyzny. Były to wybryki, dobre napady szatana, chwile pokuty rzezimieszka i nic więcej. *Alles was ist, ist vernünftig* było, jest i będzie godłem ziomków Hegla, Schopenhauera, Bismarka, Hartmana, Treitschkego. Po co łudzić się?

Robon Dion.

*) „Pesymizm i wszechwładza państwa" (Artur Schopenhauer). Luty i marzec.

Karol Marks, *Pisma pomniejsze.* (Dokończenie).

Proudhon w nędzy widzi zło i szuka sposobów zmiażdżenia jej, Marks widzi kategoryę społeczną, w warunkach materyalnych istnienia i rozwoju, prowadzącą do swego unicestwienia — idzie tylko o uświadomienie tego biegu, zgłębienie i analizę warunków walki. Zamiast stawiania zadań — odsłanianie tajemnic rzeczywistości, zamiast jałowych zaciekań nad odkryciem „ideałów społecznych" — studya nad życiem, zamiast krawieckiego przypasowywania stosunków realnych do syntetycznej sprawiedliwości — organizowanie pierwiastków nędzy, które zmierzają ku jej zniesieniu, zamiast subjektywnych mrzonek i upodobań — prawda przedmiotowa, oto co *Nędza filozofii* przeciwstawia *Filozofii nędzy.* Marks poddaje szyderstwu, zwłaszcza uganianie się za „syntezą" — czem jest bowiem ona? Zestawieniem pierwiastków wyłączających się w rozwoju społecznym. Sąd ostateczny o Proudhonie brzmi tak: „Zamiast kształtowania wiedzy na podstawie krytycznego zbadania ruchu historycznego, ruchu, który sam z siebie wysnuwa materyalne warunki wyzwolenia, ugania się on za tak zwaną „nauką," która *à priori* ma dostarczyć wzoru dla „rozwiązania kwestyi społecznej..." Wiedza sprowadza się dlań tylko na skarłowaciałą dziedzinę naukowych formułek; ugania się po prostu za wzorami... Łudzi się, że dał zarazem krytykę ekonomii politycznej i komunizmu; w rzeczywistości wszakże stoi poniżej i tego i tamtej. Poniżej ekonomistów, gdyż jako filozof, mający do swego rozporządzenia magiczną formułkę, mniema się być zwolnionym od wdawania się w szczegóły ściśle ekonomiczne; poniżej socyalistów, ponieważ nie posiada ani należytej odwagi, ani dosyć zdrowego zmysłu, aby wydostać się po za widnokrąg mieszczański. Jest to uosobiona sprzeczność."

Jak już wiemy, sposób produkcyi i wymiany, formy własności i zarobkowania, słowem — wszystkie kategorye ekonomiczne są dla Marksa rzeczami względnej, historycznej wartości. Ekonomia polityczna nie powinna zapominać o przestrzeni i czasie. Prace ekonomisty niemieckiego wciąż mają to na uwadze i obracają się zawsze dokoła ściśle określonej formacyi stosunków gospodarczo-narodowych: jest nią system produkcyi i wymiany kapitalistyczny. Od jednej z głównych kategoryj tego pokładu ekonomicznego zatytułował najgłówniejsze swe dzieło: *Kapitał.* Książka ta ma tylko jedno na celu: odsłonięcie tajemnic produkcyi nowożytnej i jej początków, oraz dążności. Założenia są zbudowane na przypuszczeniu, że główne wymagania kapitalistycznego porządku rzeczy są urzeczywistnione; obejmują też tylko te wypadki, gdy to ma miejsce w samej istocie. Rozpatrzmy je pokrótce. *Produkcya towarów pod względem ilościowym nie napotyka żadnych granic.* Wyłożona więc w *Kapitale* teorya ekonomiczna tyczy się jedynie produktów *), których ilość daje się dowolnie pomnażać pracą ludzką, nie napotykając przeszkody ze strony sił fizycznych lub psychicznych, lub których produkcyi nie krępują żadne monopole, słowem, kiedy wolna konkurencya występuje w całej potędze. Rzeczy, których praca nie może przysparzać dowolnie, *Kapitał* nie bierze pod rozpatrzenie; ich cena rynkowa zależy od smaku, zamożności lub kaprysu nabywców; inne zaś, których wyrób zawisł od monopolu, zmieniają cenę nie w zależności od włożonej w nie pracy ludzkiej, lecz od wielu innych przyczyn. Wszystkie inne dobra materyalne wymieniają się według ilości pracy, społecznie niezbędnej dla ich odtworzenia. To sprowadzenie wartości wymiennej towaru do pracy społecznie potrzebnej odbywa się pod wpływem wolnego spółzawodnictwa. *Zupełna swoboda wymiany i doskonała rywalizacya wśród koła wytwórców oraz wpośród nabywców*, oto drugie założenie *Kapitału.* Każdy sprzedawca chciałby pozbyć się swego towaru jaknajdrożej, lecz współzawodnictwo zmusza go do obniżenia żądań; podobnież tłum spożywców przez wzajemne współubieganie podnosi cenę przedmiotu. To jedni, to drudzy przemagają; gdy zapotrzebowanie przeważa, ceny towaru idą w górę, kapitały rzucają się do odpowiedniej gałęzi przemysłu i zwiększając zaofiarowanie produktu, zniżają cenę. Odwrotnie w razie wzrostu zaofiarowania kapitały się wycofują, sprowadzając stosowną zniżkę. W ten sposób bieżąca cena towaru znajduje się zawsze powyżej lub poniżej zrównania określonego przez czas społecznie niezbędnej pracy. Te wahania sprowadzają wciąż cenę na poziom właściwy. „Wśród biegu tej przemysłowej anarchii, w tym procesie kołowym, konkurencya wygładza jedno odchylenie przez drugie. Ogólny bieg tego chaosu stanowi o swym własnym ładzie." Obecna produkcya postępuje wśród zmieniających się kolejno okresów przemysłowej gorączki i zastojów; przeciętna cena z tych różnych podwyższeń i zniżeń zgadza się z wartością produktu. „W ekonomii politycznej, dla wyprowadzenia ogólnych wniosków, bezwarunkowo nie wolno zestawiać cyfr z jednego li tylko roku. Zawsze trzeba brać przeciętnie 5 — 6 lat, czas, w przeciągu którego nowoczesny przemysł przechodzi przez różne fazy: przez fazę rozkwitu, zastoju i przesileń." *Wolność zupełna proceder i produkowanie nie na własną potrzebę, lecz w celach zysku*, są koniecznem tego założeniem. Ze słów powyższych, że ład ekonomiczny i stałość praw jego występują jedynie jako zasada ślepa, prawdziwa tylko przeciętnie, określa się metoda naukowa Marksa, wspólna mu ze szkołą Ricardowską (i jej odłamem, Rodbertusowską). Otóż jak dla zbadania praw spadku ciał ważkich na ziemię mechanika rozpatruje go, jak gdyby dokonywał się w próżni i dopiero po wywnioskowaniu jego zasad przy tem przypuszczeniu wprowadza poprawki na tarcie powietrza, podobnież ekonomia polityczna, która również nie posiada do swego rozporządzenia ani odczynników chemicznych, ani mikroskopu, musi zastosowywać abstrakcyę, tj. usuwać z pod rozpatrzenia bodźce drugorzędne podaży i popytu, mącące bieg czysty wymiany według tkwiącej w wytworze niezbędnej społecznie pracy i wychodzić z założenia, iż zaofiarowanie i zapotrzebowanie się równoważą. Dopiero zbudowawszy na tej podwalinie gmach cały wywodów, można wnieść dla każdego szczególnego wypadku poprawkę

*) Mówiąc o towarze, podciągamy pod niego i siłę roboczą.

na wpływy poboczne, na odchylenia, jakie przebywa wartość po przez zastoje i powodzenia przemysłowe. Twierdzenia ekonomii politycznej tem są zgodniejsze z rzeczywistością, im założenia silniej wcieliły się w życie. „Prawa te stają się coraz zgodniejsze z rzeczywistością, im bardziej zostają spełniane żądania wolnego handlu.“ Tu zauważymy jeszcze, że Marks rozróżnia niższą i wyższą pracę społeczną. Konkurencya sprowadza tę na tamtą, wyższą wyraża w niższej. To każe przypuszczać, że prosta praca stała się podstawą przemysłu, że dzięki podporządkowaniu człowieka maszynie, prace różne się ujednostajniają. „W fabryce, pracującej zapomocą maszyn, praca jednego robotnika ani na jotę nie różni się od pracy każdego innego; robotnicy mogą odróżniać się tylko tym czasem, jaki zużywają przy pracy.“

Na zakończenie rzekniemy jeszcze słów kilka o genezie ekonomicznych poglądów niemieckiego badacza. Są ludzie, którzy w *Kapitale* widzą coś, co nie posiada przodków. Jest to błąd. Teorya Marksa stanowi jedynie ostatnie ogniwo dłuższego rozwoju, jej założenia spotykamy już w zarodku w pracach Ricarda. Ograniczenie ekonomii politycznej jedynie do dóbr materyalnych, metoda badania, rozróżnianie wartości zamiennej od użytkowej i mierzenie tamtej przez pracę, przyrównywanie robotnika do towaru, prawo żelazne najmu i antagonizmy ekonomiczne między pracodawcą a robotnikiem, kapitalistą a posiadaczem ziemskim, wszystko to już kiełkuje w szkole Ricardowskiej, pozostaje jednak nierozwiniętem, gdyż samo życie nie dostarczało podówczas tak wyrazistych wzorów, jakie wydała teraźniejszość. „Pisma pomniejsze“ świadczą o całym wpływie tej szkoły na umysł Marksa. W traktacie „O wolnym handlu“ i „O pracy najemnej i kapitale“ czytelnik nie napotka ani jednego założenia, którego niepodobna byłoby odszukać u klasyków. Jest to zresztą rzeczą naturalną: kategorye ekonomiczne w swej istocie nie uległy zmianie do końca zeszłego stulecia, rozwinęły się jedynie, coraz bardziej wykluwając ujemne i dodatnie swe strony — odpowiednio i badacz, który nie chce maskować rzeczywistości, musi dochodzić do tych samych rezultatów teoretycznych. Klasycy, wskutek okoliczności, w których rozbiór wchodzić nie będziemy (poprzestaniemy na zaznaczeniu jednej: braku jasno rzucających się w oczy następstw ujemnych obecnego gospodarstwa społecznego), zapuszczali swój skalpel w rzeczywistość ekonomiczną, bez oglądania się na jakiekolwiek względy, traktowali zjawisko przedmiotowo. Wszystko to uległo przewrotowi, gdy rozglądający się w powodach swej nędzy najmici sięgnęli po wywody ekonomii. Kapitał, zagrożony w najdroższych swych dążnościach, obejrzał się za adwokatami swej sprawy. Ci niemieszkali się zjawić; zaczęli od odrzucenia klasyków, których pomówili o cynizm, brak serca i upadlanie godności ludzkiej przez przyrównywanie robotnika do bawełny i węgla. Zapomnieli, że cynizm ów leżał w rzeczach, że gdzie życie jest pełne cynizmu, tam i jego określenie, jeśli jest rzetelne, nie może być innem. Inaczej zachowali się rzecznicy sprawy robotniczej; cynizm Ricarda nie odstręczył ich, lecz przeciwnie, przyciągnął, bo znaleźli w nich charakterystykę istotną rzeczywistości z jej ujemnemi i dodatniemi stronami. Wszyscy teoretycy czartyzmu czerpią z klasycyzmu pełną dłonią, biorąc i rozwijając zwłaszcza to, co tyczyło się położenia robotnika wśród gospodarstwa narodowego. Przyjmuję założenie, że wartość wymienna towaru, o ile wymiana odbywa się w nieobecności ograniczeń i tyczy się dóbr materyalnych, określa się przez ilość pracy niezbędnej, lecz nie tej, którą pochłonął produkt, ale której potrzebuje do swego odtworzenia; zapożyczają zastosowanie tego twierdzenia do siły roboczej, która dla nich stanowi jedynie towar, sprzedający się na rynku według kosztów produkcyi i po sprzedaży przez oddawanie swej użytkowości wytwarzający nabywcy wartość większą, niż zapłacona. W ten sposób dochodzą do kategoryi *wartości dodatkowej* (Mehrwerth), taką rolę odgrywającej w teoryi *Kapitału*. Marks, zwróciwszy się za wskazówką Engelsa, do studyów nad czartyzmem, znalazł tu już prawie wszystkie punkty podstawowe krytyki kapitalistycznego porządku rzeczy. Rozwinął je pełniej, poparł nowymi dowodami, uzupełnił w różnych częściach i związał w jedną zwartą całość wywodów. Taka jest geneza *Kapitału*. Ze szkoły Ricardowskiej rozwinęła się też i doktryna Rodbertusowska.

L. Krzywicki.

E. Majewski: *Koniec świata*. Przegląd wypadków, jakie mogą sprowadzić zagładę ziemi. Warszawa, 1887.

Autor pragnął podzielić się wrażeniami, jakich mu temat tytułowy dostarczył, zaopatrzyć czytelnika w pewien zasób wiadomości o cudach wszechświata i wzbudzić zapał do ich poznawania.

Na tle więc głównych postulatów nauki— prawa zachowania energii i niezniszczalności materyi — opowiada w krótkich słowach hipotezę Kanta i Laplace'a, wprowadzając do niej poprawkę, że pierwotny stan materyi był stanem bezwzględnego zimna, że ciała niebieskie rozgrzewały się stopniowo w miarę zgęszczania.

Po tych objaśnieniach przechodzi do swego przedmiotu. Nie zajmuje się jednak wyłącznie tylko wypadkami, które mogą sprowadzić zniszczenie ziemi, lecz rozpatruje wszystko, co może wywołać zagładę ludzi i wyrządzić im mniejsze lub większe szkody, określa stanowisko człowieka w przyrodzie ożywionej i interesuje się przyszłością i celami ludzkości. Słowem, radby dać czytelnikowi swemu pewien ogólny pogląd na świat, któryby zbliżał się do naukowego, a mimo to godził z kosmogonią biblijną.

Naprzód tedy spotykamy sprawę zgaśnięcia słońca, które podług Du Bois Raymonda ma nastąpić nie wcześniej, jak za 17 milionów lat; o skutkach jednak braku ciepła na ziemi autor mówi dopiero w jednym z rozdziałów końcowych. Dalej zaś stara się pokazać, że możemy mieć jeszcze drugie słońce, że z naszem może się spotkać inne, jakkolwiek upłyną zapewne tryliony lat, nim coś podobnego nastąpi. Później czytelnik spotyka przepowiednie, że ziemia upadnie na słońce i spali się w niem, że po wielu tysiącach lat zleci na ziemię księżyc, chociaż ludzkości to nie dotknie, wówczas bowiem będzie już ona umarłą. Zwalczywszy niedorzeczne mniemanie, że komety wywierają wpływ na losy ludzkie, autor zaznacza prawdopodobieństwo, jakkolwiek niezmiernie małe, spotkania się ziemi z kometą i dochodzi do wniosku, że ono spowodowałoby straszną katastrofę. Wnętrze ziemi napełnione jest gazem, którego prężność musi zapewne o wiele przewyższać siłę wybuchową nitrogliceryny, ziemia więc jest bombą, napełnioną dynamitem, dynamit ten jednak nie wybuchnie, wstrzymuje go bowiem siła ciążenia. Na ziemię spada bardzo wiele drobnych ciał niebieskich i nie byłoby nic dziwnego, gdyby na nią zsypał się kiedyś cały grad bardzo ciężkich brył, chociaż przypadek taki nie jest zbyt strasznym dla nas, ziemię bowiem chroni atmosfera, która niszczy pierwotną szybkość głazu. Uranolity, czyli kamienie niebieskie, pochodzą z rozbitych większych ciał; siłą zaś, która rujnuje *zastygłe* globy i rozprasza ich części w przestrzeni, jest... odśrodkowa, będąca skutkiem przyspieszenia obrotu, któremu i ziemia uledz może.

Tu autor sam przyznaje, że popuścił cugli fantazyi, tylko myli się, nazywając ją naukową. W jednym z poprzednich rozdziałów sam tłomaczył, że szybkość obrotu kuli ziemskiej, zastygłej, ciągle i stale się zmniejsza i że tem samem siła odśrodkowa także słabnie. Jakże wobec tego wygląda teorya uranolitów, podana przez p. M.? Zaznaczmy, że najnowsza hipoteza, postawiona przez astronoma R. Proctora, opiera się na znanym związku gwiazd i kamieni spadających z kometami, a powstanie komet tłomaczy potężną działalnością wulkanów ciał niebieskich jeszcze nieskrzepłych.

Podobną do powyższej fantazyą jest objaśnienie epoki lodowej. Świat organiczny, podług niej, rozwinął się na powierzchni ziemi dzięki jej własnemu ciepłu; słońce wówczas było jeszcze mało zgęszczonem, świeciło i grzało bardzo słabo; gdy więc ziemia się oziębiła, musiała nastąpić na niej epoka lodowa. Później słońce miało nagle zmniejszyć swą objętość; wskutek wielkiej ilości ciepła, teraz przez nie wysyłanego, epoka lodowa przeminęła. Jednocześnie z zabłyśnięciem słońca, zaczął świecić i księżyc, który tylko odbija światło słoneczne. P. Majewski wskazuje na zgodność tej fantazyi „nawet z opowieścią,“ która głosi, że naprzód była *światłość*, a później dopiero *słońce* i *księżyc*, z tradycyą o powszechnym potopie, oraz o ludach, żyjących na ziemi przed zjawieniem się *księżyca na niebie* (proselenes). Mojżesz, podług p. M., nigdzie nie rozmija się z „najnowszą“ nauką, gdy np. każe wierzyć, że słońce i księżyc czwartego dnia wystąpiły na widownię, a światłość już się pierwszego dnia poczęła. I jakaż to mogła być światłość? — zapytuje p. M. „Autor (Mojżesz) przez powtarzanie po każdym akcie twórczym słów: i nastąpił wieczór i ranek, wyraźnie zawiadamia nas, *że była wschodząca i zachodząca światłość*, a nie jakieś powszechne światło, że to było przeto jakieś blado świecące ciało. Zobaczmy teraz, co mówią geologowie o przyczynach okresu lodowego, a fantazya autora i wnioski z niej wyprowadzone przedstawią się we właściwem świetle. Prawie cała północna część Europy, a nadto Sahara, znajdowały się podczas epoki lodowej pod morzem, które łączyło się bezpośrednio z dzisiejszym Oceanem Lodowatym. Północne prądy morskie opłukiwały brzegi ówczesnej Europy, masy gór lodowych topniały tu, przybywając z północy, i zimne wiatry wiały ponad wązkim podówczas pasem lądu; w tem wszystkiem widzieć można i trzeba przyczynę silnego oziębiania lądów dyluwialnych.

Dalej autor zaznajamia czytelnika z teoryą powstawania gór, mówi o wielkich burzach, jakie za ludzkiej pamięci się wydarzyły, przepowiada zniknięcie atmosfery i wyschnięcie oceanów, spodziewa się, że działalność wulkaniczna z nową energią wystąpi kiedyś na ziemi i wywoła takie katastrofy, wobec których współczesne wydadzą się sztucznymi ogniami. Oczekiwać także należy nowego potopu, który zaleje większą część lądów. W końcu p. M. krytykuje obecnie przyjęty w nauce rodowód człowieka. Przyznaje, że pod względem fizycznym ludzie z rodem małpim najbliżej są spokrewnieni; pod względem władz duchowych jednak pokrewieństwo to jest tak dobrze, jak żadne. Uczeni kompetentni inaczej się na to zapatrują; znajdują oni, że czynności umysłowe człowieka różnią się od małpich tylko stopniem złożoności. Przykłady inteligencyi małp przedstawiają wcale nie dwuznaczne objawy rozumu. Przytoczymy jeden, który ilustruje uczucia małp do człowieka podobnych. „Śmierć jej (mafuka, jednej z małp wyższych), powiada Tylor *), była prawie tak wzruszającą, jak ludzka; gdy jej przyjaciel, dyrektor ogrodu, przyszedł, objęła go rękami za szyję, pocałowała trzy razy, potem położyła się na swojem łóżku i podając mu rękę, zapadła

*) Tylor: *Anthropology*: an introduction to the study of man and civilisation. London, 1881, str. 52.

w ostatni sen.“ Umysłowość małp nietylko może służyć za punkt wyjścia przy rozpatrywaniu rozwoju umysłowości człowieka, lecz dotychczas już badania nad umiejscowieniem czynności czuciowych i ruchowych (świadomych) w mózgu małp zdążyły silne światło rzucić na lokalizacyę czynności umysłowych u człowieka i zostały stwierdzone przez badanie objawów patologicznych u tego ostatniego.

Z popularyzowaniem tedy *wiedzy* autorowi nie szczególnie się powiodło. W jednym z pierwszych rozdziałów swej książki narzeka on na uczonych, że zamiast przyznać się do niewiadomości, badają śmiało teorye, z których każdy wybiera najlepiej mu przypadającą do gustu; tymczasem sam snuje przed czytelnikami mnóstwo fantazyj i, jak widzieliśmy, nawet dość szczególnych. Z kilku przykładów, gdzieśmy bliżej zaznaczyli, o ile poglądy rozwijane przez p. M. zgadzają się z naukowym stanem odnośnych zagadnień, można wnosić o stosunku tej książeczki do wiedzy.

Podzieliwszy swoje dziełko na małe rozdziały o zaciekawiających tytułach, autor ubarwił je fantastycznymi obrazkami, ożywił paru urywkami poezyi i potrącił o uczucie religijne, bądź w epigramach, bądź we frazesach tu i owdzie po książce rozrzuconych. Dzięki temu „Koniec świata“ czyta się łatwo i nieznającym przedmiotu dostarczyć może pewnej ilości wrażeń.

J. S.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

XI.

Przegląd prasy zagranicznej: 1) *Revue des deux Mondes*, luty — marzec. H. Taine. Napoleon Bonaparte. 2) *Nouvelle Revue*, 15 marca. Emil Castelar. Polityka demokratyczna w Hiszpanii.

Pisząc historyę rewolucyi francuskiej, zmuszony był autor sięgnąć jeszcze do olbrzymiej, bo wynoszącej 80 tysięcy dokumentów korespondencyi Napoleona I, z której wydano zaledwie część mniejszą. Wyszła z niej na jaw reszta oszczędzanych dotąd publicznemu widokowi brutalnych instynktów zdobywcy. Taine zerwał ostatni krąg aureoli z głowy założyciela familii, liczącej się ciągle między pretendentów; a że każde słowo człowieka tej miary wpływa dziś stanowczo nawet na opinie polityczne, zamknął krótkim swym szkicem na zawsze drogę do francuskiego tronu Bonapartym. Wykazując bowiem, że Napoleon z urodzenia, wychowania, charakteru i skłonności włoch, w prądzie dziejów francuskich był strugą obcą, nieswojską, wrogą nawet, że zamieszki rewolucyi i podatność entuzyazmu francuskiego wyzyskał dla celów chłodnych, osobistych, jak — dodać można — wyzyskałby Polskę lub Węgry, gdyby były w danej chwili podawały lepsze szanse powodzenia — uczynił autor familię Bonapartych na zawsze francuskiemu narodowi nienawistną.

Taine nie pisze historyi rozwoju umysłu, lecz chwyta go w chwili pełnego rozkwitu wszystkich władz i analizuje, sprawdzając spostrzeżenia ogromną masą dowodów i cytat. Trudno było istotnie śledzić powstawanie charakteru pod wpływem wychowania tam, gdzie tak potężne instynkty pod żadnym nie potrafiłyby nagiąć się wpływem. Zjawisko to „pozamierne, wychodzące nietylko z linij, ale z ram społeczności: temperamentem, instynktami, zdolnościami, wyobraźnią, namiętnością porywów, sądem moralnym, zda się być ulane w formie odrębnej z innego, niż współcześni metalu“ — toż wytłomaczenia tego fenomenu natury potrzeba było szukać gdzieindziej. Znajduje je Taine, rozwijając spostrzeżenia pani de Staël i Stendhala, którzy, chcąc ująć i wytłomaczyć to zjawisko, wracają do tyranów włoskich XIV i XV w.: Castruccio-Castracani, Malatesta z Rimini, Sforza z Medyolanu itd. Widzi w nim przykład atawizmu, choć wyrazu tego nie wymawia: „O ile badacze opierali tę łączność na podobieństwie rysów psychologicznych, o tyle można pokrewieństwa fizycznego z całą dowieść ścisłością. Bonaparte wywodził ród swój z możnej rodziny włoskiej, której przodkowie występowali na widownię publiczną już w r. 1400. Prawnuk awanturników wojskowych, zdobywców i założycieli dożywotnich państewek, odziedziczył on wraz z krwią ich wrodzone instynkty i popędy moralne.“

Tak sprawdziwszy w nim z krwi i kości włocha, nienawidzącego nawet Fzancyi w latach dziecinnych, a kochającego z pewną rzewnością Korsykę; sprawdziwszy, że w każdej chwili dziejów swych, od dowództwa armii włoskiej aż do upadku, był zawsze tylko kondotierem włoskim, watahą z XIV w., rozbiera autor po szczególe tajemnice mózgowe tej „niesamowitej“ czaszki. Spostrzega naprzód „hartowność jego umysłowego narządu,“ pozwalającą myśli czuwać bezustannie i bezustannie pracować, przywłaszczyć pamięci całokształt wiedzy administracyjnej i wojskowej i techniczną znajomość każdej jej gałęzi tak, że wszędzie przewyższał specyalistę — wraz ze zdolnością porządkowania masy tych szczegółów, która pozwala mu w jednym czasie zatrudniać się z całem przejęciem dwiema odrębnemi sprawami: układaniem kodeksu i polityką egipską.

Z tą zdolnością analizy łączy się zmysł praktyczny, odrzucający wszystko, co nie jest użyteczne bezpośrednio; stąd wzgarda dla rewolucyjnych mrzonek XVIII w., dla filozofii, literatury i sztuk pięknych. Następnie, błyskawiczna bystrość kombinowania zjawisk i przypuszczeń, stawianie hypotezy i sprawdzanie jej natychmiastowe wszystkiemi danemi—operacya, w którą wchodzą nietylko czynniki istniejące, ale możliwe, jak w bitwie, nietylko masy wojsk widzianych, ale prawdopodobieństwo nieprzyjacielskich przeciwruchów i omyłek; pracowanie równoczesne z umysłem człowieka obserwowanego, pochwycenie go, rozumienie w każdym objawie zewnętrznym, stąd owa okrutna znajomość serc, bezlitośne granie na nich, jak na strunach.

Przeciwbiegunem tego instynktu analitycznego i praktycznego jest u Napoleona „siła wyobraźni ustrojowej,“ twórczej. To, co przedsięwziął i wykonał, niczem jest wobec tego, o czem marzył: plan wyprawy azyatyckiej przez Egipt i zagarnienie Europy za powrotem; plan przywrócenia państwa Karola W., sprowadzenia papieża i królów do Paryża, uczynienia zeń fizycznej stolicy świata itd. W tym względzie jest bratem Danta i Michała Anioła, należy do epoki Odrodzenia.

Temperament tłomaczy się u niego porywami woli. Myśl poczęta, chcąca się bezpośrednio zamienić w czyn, sprowadza wybuchy gniewu, gdziekolwiek tylko przypuszcza opór: stąd ten charakterystyczny pierwszy jego ruch brania ludzi za gardło; drażliwość nerwowego systemu wieńczy gwałtowność tej niepokonanej woli kaprysem.

Aby te różnolite siły nie sprowadziły jego umysłowej równowagi do szaleństwa, musiał przystosować je do jednej, wszechwładnej. Jest nią egoizm, instynkt robienia się środkiem. „Ja nie mam ambicyi — mówił — a jeśli mam, to jest ona we mnie tak naturalna, tak wrodzona, tak związana z mem jestestwem, że nie różni się od krwi płynącej w mych żyłach, od powietrza, którem oddycham.“ Wrodzoną wykształciło wychowanie zepsutej Korsyki, francuska anarchia, obserwacya ludzi. Z niej poszły sądy moralne Napoleona, z niej brutalność i „nietowarzyskość“ (jest on *insociable*, mówi T.); z niej podporządkowanie państwa swej osobie, sprowadzenie Francyi do takiej nieświadomości siebie i swych celów, że odeń oderwać się nie może; a to ostatnie spostrzeżenie Taine'a jest równorzędne z wynikiem studyów o rewolucyi francuskiej. Anormalny rozwój, przyspieszona sztucznym środkiem fermentacya społeczeństwa, gwałtowne powiększenie jego rozparcia się sztucznym drożdżem — musiały sprowadzić w następstwie ruinę.

W studyum niniejszem język autora jest surowy, niebawiący się, jak w estetycznych, w barwną retorykę: wyniki stawiane krotko i sucho, przytłaczane masą dokumentów; można je nazwać nie pracą długo układaną i długo rzeźbioną, ale dorywczą, okolicznościową, co jednak z przyczyn wymienionych na czele pozostawia jej polityczną, jeżeli nie literacką doniosłość.

Pomni czytelnik, że wódz umiarkowanej partyi republikańskiej Emil Castelar, wygłosił niedawno w hiszpańskich Kortezach mowę, w której, godząc się z obecną monarchią, wyraził swe poddańcze uczucia dla rządów regentki. Natychmiast stary rewolucyonista Ruiz Zorilla, minister Canovas, a we Francyi Rochefort w *Intrasigeancie*, okrzyknęli go zdrajcą sprawy republikańskiej. Artykuł niniejszy jest apologią, wyznaniem wiary, wskazówką nowego kierunku dla bezowocnych dotąd ruchów republikańskich. Z tego względu jest aktem politycznym, godnym zanotowania.

Naprzód broni Castelar cywilizacyjnego znaczenia Hiszpanii. „Urzeczywistniliśmy dzieło postępu ludzkości: jak Odrodzenie włoskie względem nowożytnej estetyki, jak reformacya niemiecka względem nowożytnego sumienia, jak handel angielski względem pracy nowożytnej, jak rewolucya francuska względem nowoczesnego ruchu; myśmy powiększyliśmy ziemię, jak inne narody powiększyły widnokrąg ducha ludzkiego.“ Następnie tłomaczy, dlaczego Hiszpania nie zdołała do tej pory stać się rzeczapospolitą. Wszystkie kraje miały swoje fatalności polityczne: fatalnością Hiszpanii było, że musiała na początku tego wieku walczyć przeciw narodowi, od którego przeszły były ku niej idee liberalne, samodzierstwo Napoleona leczyć wróceniem do monarchii i katolicyzmu. Sprawdza jednak Castelar, z wielką szerokością poglądu na dzieje, że obecnie znajduje się Hiszpania w stadyum restauracyi, jaka następowała zawsze po gwałtownych rzutach naprzód: w Anglii w XVII wieku, we Francyi w r. 1815—30. Podobnie stara monarchia choć runęła w Hiszpanii w r. 1868, wróciła w r. 1875; reakcya ta była nieuniknioną, bo idee republikańskie nie przesiąkły dotąd w głąb narodu; tak wrócili Stuartowie, tak Bourboni, tak Italia, choć miała swój rok 1848, tak Niemcy, tak Węgry. Skądże miała uniknąć reakcyi tej Hiszpania? Dopełniła ona jednak w ostatniem dwudziestoleciu tego, na co innym narodom potrzebne były wieki; idea republikańska ma dziś pod nogami grunt, a jak wszystkie rewolucye przechodzą dwie fazy: kiełkowania i rozwicia — przykładem we Francyi lata 1789 i 1870 — tak w Hiszpanii po r. 1868 nastąpi wnet — autor wierzy — faza ostateczna! Błaga więc Castelar, ażeby liczono się z rzeczywistością: rzeczypospolite nie ustalają się zamachami stanu, jak monarchie; instytucye nie są przyczynami, lecz skutkami, idą z głębi przekonań przygotowanych na nie dostatecznie narodów.

Rozwija dalej część praktyczną swego systemu, gromi nadewszystko zamachy Zorilli, oskarża go o spóźnienie postępu idei republikańskiej. Teorya bezustannej rewolucyi, która wydała bezowocne ruchy Badajoza w r. 1883 i madryki we wrześniu 1886 sprzeciwia się hasłu Castelara: wolność większa — porządek większy. Przypomina, że był zawsze apostołem demokratyzmu, choć przeciwnikiem buntów żołnierskich. Osta-

tnie dwa nie mogły się udać, brakowało im tego, co świadomość nowożytna zowie „przystosowaniem się do środka.“ „Wybudowaliśmy rzeczpospolitę w rządzie centralnym, ale że nie wystawiliśmy jej w świadomości naszego społeczeństwa, musiała runąć.“ Ostatnie więc słowo Castelara takie: „z propagandy do komitetów, z komitetów do Izby, z Izby do woli narodów, według prawa i porządku“; jednym wyrazem: „ewolucya przeciw rewolucyi.“ Z tej to zasady — tłomaczy—nie uważał za niestosowne pogodzić się z dzisiejszym rządem, który swą polityką ułatwia pokojowe rozwiązanie kwestyi; przeniósł go nad nieznany rząd jednodniowy, który gwałtownością swą mógłby nową sprowadzić reakcyę. Program postawiony jasno; ale jeżeli to wyznanie wiary oczyszcza Castelara w oczach spółwyznawców, czyni go na nowo podejrzanym rządowi, któremu na pozór podał rękę i stawia na nowo w rzędzie nieprzejednanych.

Anarchia jest płodem słowiańskim — ten zaszczyt należy i naszej historyi, gdzie na urojony absolutyzm nie było rzekomo innej rady, jak zupełne wyuzdanie osobistej buty, zaprzeczenie rządu i widzenie w sobie samym odrębnego światka i państewka. Skłonności plemienne mogą przykucnąć, skarcone wychowaniem i rózgą — zawsze gdzieś szydło wyjdzie z worka. Ze Słowiańszczyzny przeniósł anarchię do Szwajcaryi Bakunin; z Szwajcaryi przeszła do Francyi, osiedlając się głównie w Lyonie, dziś wybiera sobie za rezydencyę Paryż. I dziw powiedzieć: gdy na wschodzie był anarchistą bojar czy karmazyn, tu ta sama teorya zaszczepić się zdołała jeno w najniższej, najnieoświeceńszej, najbrutalniejszej części proletaryatu, któremu podoba się urzeczywistnienie ironicznych słów Rocheforta: *Il n'y a plus rien*! Przez wybory, przez głosowanie powszechne, przez wielki cień rządu, negujący pojęcie wolności. Człowiek jest z natury dobry, społeczeństwo go zepsuło; usuńć społeczeństwo, dobro wyjdzie znów na wierzch jak oliwa. Nazwa *citoyen* mówi o społeczności; zastępuje się ją nazwą *compagnon*; przypominałyby dawny ustrój wszelkie partye i grupy — więc pozwala się jeno na kółka złożone z 2, 5, najwięcej 10 członków. A nazwy ich pouczające: pantera batignolska, galernicy, kryminaliści, serca dębowe itd.

Anarchiści cieszą się we Francyi ogromną swobodą. Podczas gdy socyaliści z partyi kolektywistów doczekują się procesów za każde śmielsze słowo, anarchiści odgrażają się bezkarnie sędziom w salach sądowych. Tajemnica wytłomaczy się odkryciem, że najczynniejsi agenci anarchii pochodzą z prefektury policyi, najzajadliwsi mówcy również; dziennik *Révolution sociale* był, jak się okazało, organem policyjnym. Tym sposobem powiększa się zamieszanie między szermującemi teoryami, odbiera kredyt niebezpieczniejszemu, bo poważniejszemu przeciwnikowi.

Egrot.

TEATR

A. Valabreque *Szczęście małżeńskie.* Komedya w 3 aktach, tłomaczona przez Wandę Barszczewską.

Nowostka ta, zbogacając repertuar tak ulubionych przez naszą publiczność fars, przyniosła jej zarazem pewną rozmaitość: spory i waśnie domowe, w których nie masz ani jednego wiarołomstwa, pojedynku, słowem, żadnego środka grubego. Ot, po prostu dwa młode, w gruncie rzeczy kochające się stadła, wzajemnie robią sobie awantury dla zabicia nudów. Los nie dał im potomstwa, a małżeństwo bez dzieci, to, jak słusznie mówi papa Bonneval, mieszkanie nie opalone. Przywiedziony do ostateczności jeden z mężów, Juliusz Bertaut (p. Tatarkiewicz) zwraca piękną swą połowę (p. Czaki) rodzicom, jedna zaś z żon Janina Taverny (p. Wisnowska) ucieka od swego towarzysza (p. Szymanowski) sama i tym sposobem obie córki szanownego i wielce poczciwego ojca (p. Ostrowski), wedle niedokładnego jego wyrażenia, zostają znowu pannami. Jest zresztą i trzecia jeszcze, która właśnie ma konkurenta, ale w swej naiwności, zrażona mniemaną niedolą sióstr, wraca narzeczonemu (p. Wolski) słowo, postanawiając pozostać w wiecznem panieństwie (p. Trapszo). Gdy usiłowania strwożonych poważnie rodziców zgody nie przyniosły, a rozbrykane w swych dąsach pary grożą sobie rozwodem, zaś paruodniowa seperacya dotkliwie daje się we znaki ich czułym i spragnionym pieszczot sercom — p. Bertaut, jednym zręcznie obmyślanym figlem naprawia wszystko. Podrzuciwszy drugiej parze nieodstępne w takich razach listy fikcyjne, jako *corpus delicti* ukartowanej zdrady wzajemnej w jednem i tem samem miejscu, sprowadza rozjątrzonych małżonków do mieszkania przygotowującej się rzekomo schadzki i tam, po wielu jeszcze kombinacyach i nowych nieporozumieniach, zawarty zostaje powszechny pokój. Naturalnie stało to nieprędzej, aż wszystkie osoby komedyi zbiegły się. Stąd krzyki, dzwonienie, gra w chowanego, rzucanie subretce napiwków niemożliwych, kończące się dopiero wtedy, gdy już nie zostało ani jednej ściany, ani lustra, po za któremi nie stałby ktoś ukryty, gdy wedle praw fizyki dzwonki powinny byłyby oniemieć, a słuchacz — ogłuchnąć. Cierpliwość francuska, nienużąca się jedną od lat już kilkudziesięciu receptą farsy, oraz pomysłowość autorska, umiejąca w coraz to nowy wyzyskiwać ją sposób — zrobiły swoje. Do całego tego zamętu przypięto morał, spływający na scenę dwoma kanałami: przez usta papy Bonneval, który stawia zbałamuconej młodzi za wzór swą prostotę w wymaganiach, pracowitość i idealne pożycie z żoną (p. Niewiarowska), oraz kamerdynera Jana, który niedawno zaprzężony do jarzma małżeńskiego, kłóci się ze swoją Teresą, ale więcej chyba dlatego, żeby mieć słodkie przeprosiny... Ostatecznie więc winą swarów jest nadmiar dobrobytu młodych kobiet, rozpieszczenie, płocha chęć wciskania mężów pod przysłowiowy pantofel, brak poważniejszych zajęć. Z morału tego śmiało możnaby skwitować autora; tak jest błahy, jak same niesnaski, i na nic więcej, prócz wesołej fraszki, nie zda się.

Epizodów szczerze komicznych w sztuce Valabreque'a nie brak. Naciąganych też nie mało. Charaktery... nie wiem, czy się godzi szukać psychologii w zabawce, ale wyznać trzeba, że Bertaut ze swą kupiecko-matematyczną ścisłością w mowie jest nader sympatycznym trzpiotem i plastycznie odbija od gwałtownego i wszystko dramatycznie biorącego szwagra i wspólnika w interesie. Janina stanowi również postać bardzo wyrazistą i zaokrągloną — pośpieszam dodać, nie fizycznie. Razi mocno nieprawdopodobną poufałością lokaj, którego nawet krańcowy demokrata miałby prawo wyrzucić za drzwi, za gadatliwość i wścibstwo. Rysem komedyi, bardzo dodatnim a subtelnym — jest pyszny koloryt sfery zamożniejszego mieszczaństwa, drogą uczciwej pracy podniesionego materyalnie, lecz w drugiem pokoleniu już zniewieściałego nieco pod względem obyczajowym. Tłem —prawdziwa serdeczność, wielkie przywiązanie do rodziców, podstawą — prawość. Rzekłbyś: autor delikatnie daje poznać, że ta warstwa ludzi jest najzdrowszą, przeciętną, słowem normalną dla społeczeństwa. Takie przynajmniej wrażenie sprawia *Szczęście małżeńskie*, postawione obok nieprzebranej masy innych komedyj paryskich, naszpikowanych hrabiami, baronami, aktorkami i armią. Nie prześlepiono też śmiesznych stron sfery. Wyobraża je epidemiczna choroba mieszczaństwa — małpowanie „śmietanki towarzystwa,“ przestrzeganie dobrego tonu. Te to o śmierci i życiu stanowiące przykazania zniewoliły mamę Bonneval wsunąć w rękę Marcie stosowny podręcznik. Dziewczę znajduje w nim światło rady, jak znarzeczonym postępować, o czem mówić, ile razy całować się; kartki jednak, może najwięcej przydatne, bo opiewające czasy pcślubne — zostały wydarte. Szczegół to nie nowy, ale zawsze cenny, jako znamię charakterystyczne.

Zahukane hałasem ucho sprawozdawcy nie zawsze mogło śledzić przekład — zachwyciło wszakże coś w rodzaju „obrazu wyobrażonego w wyobraźni“ itp. Niewątpliwie to harmonijne *trio* gdzieś tam tkw. Jeśli są i inne podobne, wartoby je uciszyć, ażeby publiczność nie „wyobrażała sobie“ smutnego „obrazu“ czujności reżyserskiej.

Palmę pierwszeństwa w odegraniu tej wesołej trzyaktówki przyznałbym bez namysłu p. Tatarkiewiczowi, który wprawdzie wdzięczną ma rolę, ale też z nieporównaną swobodą i wdziękiem z niej się wywiązuje. Panowie Ostrowski, Szymanowski i Wolski zostali wierni swej dobrej sławie. P. Wisnowska nader wypukło i inteligentnie przedstawia rozkapryszoną, zawziętą i zanadto pewną siebie Janinę. Wogóle całość wypadła z tą dokładnością i swobodą, do jakiej zwykle uspasabia niewymuszony, niewybredny, żartobliwy zakrój utworu.

J.

WYKŁADY PUBLICZNE.

Feliks Kucharzewski: *O sławnych garncarzach.*

Prelegent przebiegł dzieje kunsztu garncarskiego. W tem pojęciu zawarł wyrób wszelkiego rodzaju naczyń glinianych, fajansowych i porcelanowych. Skreślił pierwsze kroki rzemiosła, gdy naczynia lepiono jeszcze w ręku i nie znano stołu garncarskiego. Przeszedł następnie dzieje tej sztuki w starożytności i w ciągu dalszym rozwój jej za czasów nowożytnych. Niepodobna jednak zdawać sprawy z treści odczytu, gdyż lubo słuchaliśmy go z przyjemnością, nie posiadał jednakże punktów wytycznych, które pozostałyby w umyśle i wybiegały po za zręczne ułożenie faktów, przeplatane mimolotnemi uwagami. Opowieści o różnych majolikach, porcelanach, polewach prelegent urozmaicał sylwetkami garncarzy, takich, jak: Palissy, Böttícher i Wedgewood. Palissy to zaiste bohater wytrwałości. Postanawia zgłębić tajemnicę przygotowania polew; trudzi się nad tem lat kilkanaście, rzuca w to cały swój majątek, pali nawet podłogę z domu. W miasteczku uchodzi za waryata, wreszcie po długich próbach poszukiwania zostają uwieńczone powodzeniem. Dochodzi on do zaszczytów, lecz nowe czekają go przejścia — za wolnomyślność. Bötticher — to znów jeden z owych na pół uczonych na pół awanturników, w których tak obfitowała Europa XVIII w. Posiadać miał cudowny proszek alchemistów, ale gdy omylił nadzieje Augusta II saskiego, skazany został na zamknięcie. Tu wynajduje pokłady gliny porcelanowej, wraca do łask i staje na czele zakładu, prowadzonego w tajemnicy, tak iż glinę zwożono nocą, robotnicy zaś składali przysięgę na zachowanie sekretu. Wreszcie Wedgewood — to ów typ tak częsty w Anglii wytrwałego biedaka, który pilną nauką dochodzi do wiedzy technicznej i olbrzymiego majątku.

SPADEK LITERACKI PO KRASZEWSKIM.

Korespondent pism warszawskich, p. G. Smólski, który miał możność powierzchownego przynajmniej obejrzenia spuścizny literackiej po Kraszewskim w S. Remo, tak ją opisuje.

Rękopisów jrst bardzo wiele — przeważnie prace rozpoczęte—z dziejów, historyi literatury i sztuki; ale znajduje się między nimi kilka powieści ukończonych i utworów dramatycznych. Zwojów rękopiśmiennych jest około 20. Osobną grupę stanowią materyały i zapiski do „Historyi oświaty w Polsce,“ której „wstęp,“ objętości wielkiego tomu, opracowany, reszta w materyale uporządkowana. Ukończona zupełnie „Historya teatru w Polsce,“ oraz zbiory listów Brühla i Krasińskiego. Ukończone również powieści „Wysokie progi“ (tytuł przekreślony, data 1883), druga bez tytułu (1884), trzecia bez początku i końca, czwarta „Nera“ (1885), piąta „Przygoda Stacha.“ Obok tego gotowe dzieło po francusku „Lettres sur l'Allemagne.“

Jak gdyby jeszcze potrzeba było dowodów zdumiewającej pracy i płodności Kraszewskiego, znaleziono w willi masę książeczek notatkowych, zapełnionych wierszami i obficie ilustrowanych rysunkami. Oto kilka próbek, przytoczonych przez korespondenta:

„Dziś w naszym świecie tym cudnym
Grzechu człek człeku — zazdrości,
A siła dzisiaj pan świata,
A samolubstwo — to prawo...“

. . . .

Gdzieindziej:

„Tak, lepiej, no, lepiej niech człowiek nie [marzy; —
Sam... wam przykazał nie marzyć, panowie,
Bo wszystko złe w świecie w tych mrzonkach [się warzy,
Więc sercom nie wolno nic marzyć, ni głowie;
Stąd wszystkie też klęski; — przykuci do ziemi,
Po co wam niebieskie wymyślać migdały,—
Żyć wiecznie w opałach i karmić się niemi,
I tylko, wzdychając, przeboleć wiek cały?...
Do ziemi, robaki, nie dla was jest niebo;—
Wam baty brać tylko na kwiatach kobierca, —
Chleb *primo*, chleb waszą jedyną potrzebą!...“

Rozpatrując tę resztę spadku literackiego po Kraszewskim tylko zewnętrznie, znajdując w niej tyle jeszcze prac wykończonych, tyle materyałów zebranych, tyle pełną garścią rozproszonych drobiazgów, odkrywając, że ten jedyny w swoim rodzaju człowiek przytem tłomaczył sobie komedye Planta — tracimy zupełnie możność zrozumienia, skąd on brał na to czas i siły.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wywołany i wygwizdany. — Z trumny. — Dr Jordan przed pomnikiem Kraszewskiego. — Obrona. — Zgubiona opinia. — Podrabiane korony. — Surogaty moralne. — Przyczynek do etyki. — Materyał do dyskusyi. — Krzywda jednostki przeważająca krzywdę gromady. — Rachunek prawdopodobieństwa.— Szereg *gdyby*... — Powrót bladej Zimajerki i powrót bogatej Kochańskiej. — Głos zastępujący opinię. — List hr. Tyszkiewicza. — Elliksir odmładzający konserwatystów. — Świeża myśl.

Czytelnicy sprawozdań o posiedzeniach krakowskiej Rady miejskiej w przedmiocie pogrzebu Kraszewskiego zdziwili się niepomiernie, gdy po wysłuchaniu uchwał tego ciała, wyrażających cześć dla nieboszczyka, zauważyli naprzód odosobnione i ciche, potem zmieszane i głośne krzyki, wywołujące d-ra Jordana. Co to za obywatel? Nagle z za kulis *Kuryer lwowski* wywlókł na scenę tego aktora, którego obrzucono gradem jaj stęchłych i jabłek zgniłych. Zdumieni widzowie niedługo pytali: skąd ta zemsta na członku komitetu, który przecie postanowił pochować Kraszewskiego kosztem miasta? Objaśniono ich bowiem, że ów p. Jordan nietylko był przeciwnym tej uchwale, ale znieważył wielkiego ducha plugawem słowem. W tej chwili zdawało się, że powstał z trumny tytan, zolbrzymiał strasznie i rzekł dumnie do stańczyków krakowskich:

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa
Macie, z papieru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa
I wami sławy wysokiej kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa,
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice.
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia...

I znowu legł z boleścią na twarzy zastygłą. Z góry zleciały duchy skrzydlate, które usiadły na jego trumnie, śmiertelni dosypali kadzideł do gorejących naczyń żałobnych, zapalili więcej świec i zaczęli składać nowe wieńce — a kilku rozjątrzonych przyciągnęło przed wspaniały katafalk owego Jordana. Powtórz tu — wołali — swoje bluźnierstwo w obliczu jego majestatu, powiedz, że on niczem innem nie był, tylko agentem francuskim i więźniem pruskim, że nas nie zbogacił duchowo, tylko zniesławił, że nie był mistrzem, tylko... No wymów to słowo publicznie, które przy zamkniętych drzwiach Rady tak śmiało cisnąłeś!..

P. Jordan milczy blady, przerażony. Wygląda on, jak szkodnik, który nocą splamił pomnik wielkiego człowieka, którego złapano i za karę postawiono przy posągu na widok powszechny.

Pozwólcie mi wstawić się za tym biedakiem. Jak wszelkie ciało, tak wszelka zasada, im niżej spada, z tem większą uderza siłą. Stańczycy za *Rachunki* cofnęli Kraszewskiemu swą łaskę. Ale gdy panowie okazywali mu niechęć podczas jubileuszu lub po zgonie, zamieszczając smutną dla całego narodu wiadomość obok widowisk teatralnych, służba, prawem spadania... gorliwości, przez usta p. Jordana wyrzuciła brutalną zniewagę. Ten — jak go nazywa *Dziennik polski* — „śmiały pachołek“ nie mógł być w roli swojej umiarkowanym, delikatnym, musiał łżyć, zwłaszcza że obecni na posiedzeniu rajcowie nie nałożyli mu wędzidła, chociaż między nimi był także znakomity poeta. Czegoż więc chcecie od tego akuszera, który kiedyś krusząc kopię za honor kolei Północnej, dowiódł, że są sprawy święte, do których pierś jego zapałem wybucha? Otrzyjcie mu z warg pianę, której tyle utoczył, i puśćcie do domu, niech dłużej nie stoi pod pręgierzem przy posągu Kraszewskiego, bo to kara za okrutna. Natomiast poproście burmistrza krakowskiego, ażeby na przyszłość, jeżeli znowu kiedy umrze znakomity polak i rodacy zechcą jego zwłoki sprowadzić do Smorgonii, zwanej „Atenami polskiemi,“ nie wybierał do komitetu pogrzebowego takich ludzi, którzy umieją tylko pluć w grób czczony. Przydadzą się oni do innego użytku. Ach, przecie stańczycy mają tyle potrzeb!...

Ktoś pytał mnie niedawno, gdzie się podziała u nas opinia? Ściśle objaśnić go nie umiałem. Wiem tylko, że była to korona podwójna: jedną stroną, złotą, wewnątrz aksamitem obciągniętą, wkładano ją na głowy zasłużone, drugą, żelazną, wewnątrz ostrymi kolcami wybitą — na niegodziwe. Spoczywała ona w skarbcu klejnotów narodowych, skąd ją skradziono. Podobno głowy jej sromotną obręczą poranione lub też obawiające się potępień, uknuły spisek i usunęły ją tajemnie. Odtąd nie ma stałej opinii, nie ma korony powszechnej, lecz każdy sprawia własną, złotą dla siebie i swoich przyjaciół, a żelazną dla przeciwników. Ogół zaś, widząc te oznaki zaszczytne i hańbiące, chwilowo mniema, że ogląda ów jeden, prawdziwy, gdy wszakże na tych samych skroniach dostrzega odmienne, próbuje wytworzyć sobie sąd, ale po daremnych wysiłkach zrzeka się go zupełnie i tylko przypuszcza, że każdy przechodzący przed jego oczami jest albo wielkim niepospolitym, albo znakomitym człowiekiem. Dzięki temu bezrządowi moralnemu można wmówić wszystko w zdurzoną rzeszę, można przewlec po błocie olbrzyma a na ołtarzu postawić karła, który zwykle, jeżeli tylko zuchwały i bezczelny, bywa bohaterem dnia, lub tygodnia, dopóki go drugi karzeł z wyżyny nie strąci.

Pamiętał o przepadłej opinii p. Jordan, gdy zamykał rogatkę krakowską przed zwłokami Kraszewskiego; pamiętał o tem p. Waliszewski, gdy z kolumn *Kraju* rzucił bombę na Towarzystwo kredytowe ziemskie. Czyż nie? Gdyby nasza opinia publiczna nie zaginęła, gdyby jej nie zastępował pierwszy lepszy krzyk, p. W. nie ogłosiłby lekką ręką tak ciężkiego oskarżenia, a przedewszystkiem Towarzystwo nie przeprowadzałoby śledztwa i nie wytaczało w gazetach całej bateryi dział dla rozbicia wątłej reduty. Najpoważniejsza z instytucyj finansowych uczuła się zachwianą jednym pociskiem papierowym — czy to nie charakterystyczne? Charakterystyczniejszem jest tylko objaśnienie p. Piltza, redaktora *Kraju* w *Kuryerze warsz.* „List p. Waliszewskiego — pisze on — w którym rzeczywiście postawione są pewne zarzuty (Towarzystwo i hipoteki ziemskie pozbawione kredytu materyalnego i moralnego!) wydrukowaliśmy jedynie *jako materyał do dyskusyi.*“ A w końcu: „Redakcya *Kraju* posiada niestety w ręku swoim *dowody*, że podane przez d-ra Waliszewskiego fakty, dotyczące bezpośrednio sprzedaży dóbr Rossów, są zgodne z rzeczywistością i prawdą.“ Pomijając ten wzgląd, że kto posiada „dowody“ cudzej winy, ten jej nie ogłasza jako „materyał do dyskusyi,“ ale jako podstawę do oskarżenia, i przypuściwszy, że owe „dowody“ nie uwolniły *Kraju* od potrzeby dalszych badań „prawdy i rzeczywistości,“ mamy tu ciekawy przyczynek do etyki publicystycznej. Wyobraźmy sobie, że Pawła nazwałem podstępnym bankrutem, a jego opiekuna — pośrednikiem w oszustwie. Paweł i Gaweł pociągają mnie do odpowiedzialności, ja się usprawiedliwiam: zarzuty moje postawiłem jako „materyał do dyskusyi,“ chociaż, niestety, posiadam dowody itd. Naturalnie nie przyjętoby takiego tłomaczenia i zażądano: albo pokaż swoje dowody, albo odpokutuj za potwarz; a krzywdy cudzego honoru nie wolno ci używać za „materyał do dyskusyi.“ Znalazłoby się przytem z pół tuzina „oburzonych,“ do których *Kraj* chętnie by przyskoczył. Tak odegrałaby się scena z jednym Pawłem i jednym Gawłem. Natomiast gdybym oświadczył publicznie, że każdy Paweł jest podstępnym bankrutem, a wszyscy Gawłowie, połączeni w związek uprawniony — patronami spraw nieczystych, nikt nie mógłby mnie pociągnąć do odpowiedzialności i tylko co najwyżej ocenionoby dostarczony przezemnie „materyał.“ Bo dziwną naszych reguł moralnych logiką krzywda wyrządzona jednostce na większe zasługuje potępienie, niż krzywda zbiorowiska. Gdyby najgorszy z tej litanii naszych bohaterów, za którymi daremnie biegają po świecie listy gończe, dotąd nie przedziobał skorupy swego złodziejskiego jajka i gdybym zakwestyonował jego charakter, poczytanoby mi to za większy grzech, niż gdybym niesłusznie osądził 12 milionów polaków. Tak chce surogat moralny, zastępujący u nas opinię. P. Waliszewski przedstawił ziemian naszych jako najlichszego gatunku dłużników, Towarzystwo — jako przybytek niesumienny, działający w porozumieniu z nimi na szkodę wierzycieli — to jest tylko „materyał do dyskusyi.“ Ale niechby p. Waliszewski zarzucił np. p. Wiesemu skłonność do snów namiętnych lub plagiat w podaniu do Dyrekcyi, a p. Piltz zamieścił jego oskarżenie w *Kraju* — ha! wtedy... wtedy... Przepraszam, chciałem powiedzieć, niechby artykuł p. Waliszewskiego zamieszony był nie w *Kraju*, ale w *Prawdzie*, reszta jak wyżej... Zaroiłoby się w gnieździe szerszeni!.. Miły mój Boże, aż duszu tęskni do tego widoku.

Kto znajdzie opinię, niech jej również zapyta o wyrok w następującej sprawie. Biedna śpiewaczka operetkowa, karcona, szykanowana, wydrwiwana w niektórych pismach warszawskich, powędrowała do niemców. Według tych samych pism, zbierała tam marki i wieńce, tak obfite, że aż nam chwilowo żal się zrobiło straconej. Czy w tej duszy śród powodzeń między obcymi odezwała się tęsknota do swoich, czy ją jakiś wicher popędził w stronę kraju rodzinnego, dość, że przybyła napowrót do Łodzi, potem do Warszawy, skromna i zawstydzona. Spotkali ją na drodze ku Teatrowi Małemu Katonowie z zapytaniem:

— A pani po co tu? Wytarłszy sceny niemieckie — do nas? Wracaj, skąd przybyłaś.

Wróciła, bo była to tylko—pani Zimajer.

No, a gdy przyjedzie p. Mierzwiński lub pani Sembrich-Kochańska, którzy również wycierają sceny niemieckie?

Ci sami Katonowie spotkają ich na drodze ku Teatrowi Wielkiemu z pokłonami i wieńcami.

— Witajcie, ukochani!

Takich wag sprawiedliwych używa *vox populi*, zastępujący opinię. Wielkim, możnym i sławnym daje nieograniczoną dyspozycyę od obowiązków obywatelskich, nad małymi i biednymi znęca się z całą surowością, każe im spełniać powinności patryotyczne, a za przewinienia chłoszcze publicznie. Szanowna Zimajerko, znam jedną tylko dla ciebie radę: zostań Kochańską, a wtedy możesz wystąpić u nas nawet z Pindterem (on umie po polsku!) i jak będziemy cię oklaskiwali!

Gdy hrabia przemawia publicznie, trzeba słuchać i rozważać w kraju, w którym zawsze chodzi przedewszystkiem o to, *kto* się odzywa. Na szczęście tym razem mamy do czynienia z hrabią rozsądnym. P. Tyszkiewicz ogłosił w *Niwie* list „pod adresem konserwatystów,“ który trąci małem odszczepieństwem. Autor jest „zwolennikiem zasad zachowawczych,“ ale sądzi, że „szkodliwym jest kierunek bezwzględnego hołdowania tradycyi,“ że czcząc pomniki, nie należy „zamieniać się w mumie.“ Ponieważ zaś „żyć winniśmy chwilą obecną, a chwila obecna jest demokratyczną,“ ponieważ lud stanowi żywioł zachowawczy *par excellence*, wytrwalszy od szlachty, ponieważ dla obecnej „generacyi pokutującej chłop jest historycznym wierzycielem a może i spadkobiercą,“ przeto prasa konserwatywna winna się zająć ludem, tem bardziej, że postępowcy, którzy chwycili tę sprawę, sieją nasiona obce i zwyrodniałe a w inteligencyi wiejskiej nie mają sprzymierzeńców. Ci „niepoprawni synowie przeszłości, szukając światła, zwracają się tradycyjnie tam, gdzie już słońce zachodzi.“ Dokąd właściwie mamy się zwrócić i gdzie słońce wschodzi, autor bliżej nie objaśnia; tylko zapewnia, że „na zachodzie wszystko się rozluźniło,“ zamęt dosięgnął zenitu itd. Gdyby mu wynalezienie kierunku sprawiało trudność, służę radą jednego z najlepszych konserwatystów — Kraszewskiego, który w liście łaskawie nam przesłanym tak pisał: „Naród, który przestaje być w związku duchowym z ludzkością, do współki pracy ogólnej nie przystępuje i udziału w niej nie bierze — zmierza niechybnie ku upadkowi przez odosobnienie. Ile razy u nas światło zaniedbane wskrzesić chciano, zaczynano zawsze od zawiązania na nowo współki z ludami, które, w szczęśliwszem położeniu, w pracy nas i zdobyczach jej wyprzedziły.“ A gdzież te ludy żyją? „Doktryny to nieswojskie — mówi hr. T. — z dążeniem odrywającem od ogniska narodowego dla ogólno-ludzkich celów. Czuć to wszystko naleciałością z zachodu — obczyzną.“

Porównajmy Kraszewskiego z Tyszkiewiczem, a dostrzeżemy łatwo, który z nich jest — zabalsamowanym. Ach, jak to trudno panu być demokratą nawet wtedy, gdy ma szczerą chęć ku temu!

Hr. T. o postępowcach powtórzył klechdę, którą sobie prządki prasy konserwatywnej oddawna przy kądzielach opowiadają, ale przed oczami swych towarzyszów błysnął jedną myślą świeżą — u nas: potrzebą zajęcia się „historycznymi wierzycielami a może spadkobiercami generacyi pokutującej,“ bo to jest nakaz czasu. Mówimy: świeżą u nas, gdyż na zgniłym zachodzie chrześciański, t. z. młody konserwatyzm dawno już podniósł tę chorągiew a nawet tak się rozmachał, że jednem ze swych skrzydeł wkroczył na pole socyalizmu.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

W szkole i po za szkołą. — Poglądy korespondenta z Wyszogrodu. — Dziedzic ukraiński. — Jastrzębie i orły. — Tradycya w pop nlewierce. — Wstrętne obrazy. — Nasze pojęcie moralności. — Honor fabrykanta. — Zmora idzie! — Lazaroni łódzcy. — Kwestya bytu rozwiązana.

Do rzędu najbardziej lekceważonych przedmiotów przez nasz ogół należą siły uczącej się młodzieży. Organizm, wycieńczony nadmiarem pracy mózgowej, gwałtownie dopomina się o najpierwsze prawa swoje. Rzecz na pozór łatwa jednocześnie uczyć się i uczyć. Do jakich to rezultatów doprowadza przy dzisiejszych warunkach, wymownie świadczą następujące wypadki. W Mińsku litewskim na ławie szkolnej zmarł uczeń piątej klasy, Mieczysław Zaleski. Młodzieniec ten utrzymywał z korepetycyi siebie i rodzinę. Siły piętnastoletniego chłopca, zanadto wątłe na taką pracę, musiały popękać w nadmiernym trudzie. Przypływ krwi do mózgu sprowadził śmierć nagłą. Nie pierwszy to wypadek w owem mieście. Przed kilku miesiącami, jak donosi *Gazeta warszawska*, zmarło tam dwóch uczniów również z wytężonej pracy. Niedawno zaś omdlał w szkole uczeń klasy 8-ej, którego z trudnością zdołano do życia przyprowadzić. Według orzeczenia lekarzy, omdlenie nastąpiło wskutek ciągłego i zbytniego wysiłku umysłu. Wyzyskiwanie tej wątłej rzeszy przyszłych obywateli przez doraźnych chlebodawców przybiera także formę okrucieństwa. Ileż to na sumieniu naszej „inteligencyi“ spoczywa pięcio lub dziesięcio-rublówek, niewypłaconych korepetytorom za ich mozolną pracę! Zabrakło na razie pieniędzy, potem malec nie potrzebował już pomocy nauczyciela pozaszkolnego, no, i koniec! Gospodarza nigdy w domu nie ma, zresztą czyżby miał pamiętać o takiej drobnostce człowiek, zajęty ważnemi sprawami, wielce poważany w szerokich kołach towarzyskich?! Oszczędne matrony, albo „nasi szanowani,“ o wydętych licach i opasłych brzuchach, nieraz narzekają na *wygórowane* żądania korepetytorów; dziesięć rubli miesięcznie za dwie godziny pracy dziennie przy dwóch lub trzech tępych i rozpuszczonych malcach, to wymaganie zuchwałe! Wielu też poprzestaje na połowie tej kwoty z obawy, iżby miłosierny nie powiedział: „Idź pan z Bogiem! znajdę stu takich!“ Głęboko mi ugrzązł w pamięci szczegół z moich lat korepetytorskich. Przyszedłem do ucznia, któremu poświęcałem dwie godziny za pięć rubli (pani domu długo się targowała ze mną, bo ciężkie czasy nie pozwalały jej na większą płacę): „Czy Władzio gotów do lekcyi?“ — pytam jego braciszka pięcioletniego: „Władzio w teatrze, mama kupiła lożę za sześć rubli i poszli razem z wujkiem i wujenką.“ Taka odpowiedź spotykała mię później trzy lub cztery razy na miesiąc... Jeden z filarów społeczeństwa (wyszczerbiony zębem czasu), zwykł był mawiać: „To jest *rozpusta*, ażeby uczeń wymagał cudzej pomocy na zapłacenie wpisu. Jabym zniósł wszelkie zapomogi, niech się chłopiec do pracy przyzwyczaja. Myśmy niegdyś o własnych siłach szli do celu.“ Nie dał się stary przekonać, że dawniej świat był inny; wpisowe nie istniało, a buty, szybko dziś zdzierane w pogoni za lekcyami, nie pięć rubli, tylko dziesięć złotych kosztowały. Tacy w dobrobycie zapominają o niedostatkach dawniejszych i nie chcą uwierzyć, iż nawet o najlichszą pracę dla ucznia bardzo trudno.

Gorsze dziwolągi wygłasza w *Korespondencie płockim* pewien mieszkaniec Wyszogrodu, który pisząc o szkółce miejskiej, powiada, iż nie dowierzał jej konieczności potrzebie z powodu ubóstwa mieszkańców. Umysł tego pana musi mieć bardzo ograniczone wymagania, skoro zdolny jest do przypuszczeń, iż ludzie ubodzy nie pożądają światła. Natomiast szerokim polotem myśli i fantazyi odznaczył się p. Z., młodzieniaszek jeszcze niepełnoletni, dziedzic ukraiński, który działając w asystencyi kuratora swego p. Z., sprzedał połowę majątku O. pod naciskiem długów. Przed kilku laty rodzic umierając przekazał jedynakowi ojcowiznę zupełnie czystą. Nie dziw, że panicz tego się dopuścił, ale czemu na to pozwolił opiekun? Szlachta ukraińska i podolska zaczyna coraz bardziej maleć duchem i zatracać poczucie obywatelskie. Nad gęstem stadem nizko krążących jastrzębi zwyczajnych zaledwie kilka większych orłów buja u zenitu, mierząc łaskawym wzrokiem maluczkich na ziemi. Palców u jednej ręki będzie za dużo, jak utrzymuje korespondent *Kraju* z Kijowa, aby zliczyć wszystkie administracye, które *przynajmniej* nie uwolniły pewnej części swych oficyalistów lub nie zmniejszyły im pensyi. Nazwy ich z ust do ust sobie podawano na kontraktach kijowskich. Są to: zarząd dóbr i fabryk hr. Wł. Branickiego (Stawiszcze), p. Januarego Sulatyckiego (Chrzanówka), zarządy fabryczne w Sobolówce i Sokołówce. Natomiast jest mnóstwo posiadaczy milionowych fortun, co się nie wahali puścić „na trawę“ połowy dotychczasowych oficyalistów, a pozostałym zmniejszyć o 50% płacę. W wielu cukrowniach pousuwano uzdolnionych specyalistów dyrektorów, a na ich miejsce powołano samouków za mniejsze wynagrodzenie. Ci, co przez długie lata sumienną pracą nabijali kabzę właścicielom majątków ziemskich i fabryk, a niejednego wydobyli z matni długów, teraz poszli na cztery wiatry, w znacznej części pokrzywdzeni zatrzymaniem zapłaty.

W różnych miejscach Podola dzieje się jeszcze gorzej. Z Austryi napłynęło tylu niemców, iż krajowcy, przyzwyczajeni do ziemi rodzinnej, nie mają miejsca dla siebie. Są majątki ziemskie, gdzie prawie wszystkie posady, od zarządzającego aż do kowala i kucharza (z pensyą od 200 do 2,000 rs.) zajęli niemcy, wierni dotąd, póki nie napełnią własnych kieszeni. Starzy oficyaliści ustępują ciągle, a natomiast z rekomendacyi obcych przybyszów napływają ich współrodacy. Potomkowie rycerzy kresowych zapomnieli o tradycyi...

Pośród wspaniałych malowniczych stepów ukraińskich odgrywają się sceny, wobec których nikną okrutne epizody rozpasania z czasów kozaczyzny i Chmielnickiego. Zamożny włościanin, wdowiec, wróciwszy pijany do domu, jął napastować swą córkę rodzoną. Nie pomogły zaklęcia i łzy rzewne; chłop, nawpół przytomny, pchany dziką namiętnością, popełnił gwałt na swojem dziecku. Dziewczyna, chcąc oszczędzić ojca i uniknąć sromu, ukryła w tajemnicy zbrodnię. Po dwu latach wydano ją za mąż. Tu już, dzięki zwyczajowi przechowanemu od wieków pośród ludu, sekret nie mógł się dłużej utrzymać. Nieszczęśliwa ofiara stała się przedmiotem naigrawań i śpiewów, zastosowanych do utraty niewinności. Po-

mimo powszechnej wzgardy, nie chciała zdradzić ojca: w końcu, zmuszona przez męża, zwierzyła mu się ze wszystkiego. Sąd, jak donosi *Russkij kurjer*, skazał zbrodniarza na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Odmienny nieco wypadek zdarzył się w Grodnie. Dziewczyna, pomiatana przez wszystkich za swój błąd chwilowy, doszła do ostatniej nędzy, której rezultatem było uduszenie własnego dziecka i porzucenie go na sąsiedniem podwórku. Żądaniom *moralności* stało się zadość. Dzieciobójczyni poszła pod sąd, a nikt nie zadał sobie trudu odszukania okoliczności łagodzących. Zbrodniarz właściwy, który zdołał wtrącić do przepaści nieszczęśliwą ofiarę łatwowierności, kryje się po za kulisami tego dramatu i może używa w swojem kółku sławy nieskazitelnego, prawego obywatela. Moralność nasza po dziwnych błąka się drogach.

Nie lepiej się dzieje z honorem kapitalistów łódzkich. *Dziennik* tamtejszy opowiada o wypadku na dworcu kolei żelaznej w tem mieście. Pewien fabrykant chciał się przemocą dostać na platformę przed sygnałem. Oficyalista kolejowy, szanując przepisy swojej władzy, stawił opór żądaniom niewłaściwym, za co został czynnie znieważony przez krewkiego pasażera. Sprawa o mało nie poszła przed kratki sądowe, lecz została załagodzona 15 rublami, których pokrzywdzony nie przyjął dla siebie, lecz przeznaczył na cel dobroczynny. Fabrykant, chcąc zatrzeć przykry wypadek, oznajmił, iż przeznacza również na te same cele tysiąc rubli. Ale w miarę oddalania się niebezpieczeństwa suma ta malała stopniowo, aż nareszcie doszła do stu rubli; następnie, wskutek uwag wielu osób, urosła do 200. Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy, a nic nie słychać o spełnieniu moralnego zobowiązania. (Dodać muszę nawiasem, iż kara mogłaby spotkać wielka popędliwego kapitalistę, gdyż oficyaliści kolejowi stawiani są w prawie na równi ze służbą rządową).

Honor się budzi pod wpływem strachu, zasypia, gdy niebezpieczeństwo mija. Gdyby to było w mojej mocy, zawiesiłbym nad Łodzią olbrzymiego stracha, ażeby w wiecznem naprężeniu trzymał poczucie społeczne śród miejscowych obywateli. Możeby się wtedy choć w części poprawiła dola robotników, pozbawionych pracy. Chęci moje pozostaną tylko marzeniem, a natomiast zbliża się zmora, wywołująca wprost odmienne skutki. Jest to *przesilenie* handlowo-przemysłowe. Łódzcy wróżbici wielkimi zygzakami rysują w powietrzu straszną przepowiednię przyjścia tego potwora, wobec którego serca możnowładców skurczą się do rozmiarów zajęczego, a filantropia legnie pod zamkami na dwadzieścia spustów, zabezpieczona tak, iżby się nie rozsypała przy wydobyciu w pomyślniejszym sezonie.

Gwiazdy pierwszej wielkości na to hasło zamierzają zmniejszyć produkcyę do połowy; inni postarali się już dawniej ograniczyć pracę. Wskutek tego gromady robotników włóczą się po ulicach bez celu. Niektórzy z nich, przyprowadzeni do ostateczności, dopuszczają się kradzieży i rozbojów. Każdy numer *Dziennika* przepełniony jest kroniką takich wypadków. Nietylko w nocy i o zmroku, ale w dzień biały spokojni mieszkańcy miasta nie są bezpieczni. W rubryce kradzieży zdarza się nieraz bochen chleba, wyrwany komuś z ręki. Położenie to, wchodząc w stan przewlekły, zabija wszelkie pierwiastki szlachetne i doprowadza do zezwierzęcenia zupełnego przymusowych lazaronów łódzkich.

Drogomir.

Z Przasnyskiego odbieramy sprostowanie faktu, ogłoszonego przez pisma a zaznaczonego w n-rze 8 *Prawdy*. Jeden z ziemian — według tej wieści — ratując się z kłopotów, sprzedał pozornie majątek, a zawiedziony w rachubie przez nabywcę, odebrał sobie życie. Otoż bliski znawca téj sprawy objaśnia nas, że przyczyną samobójstwa były niepowodzenia materyalne i niemożność spełnienia przyjętych zobowiązań. Była to po prostu jedna z nieszczęśliwych ofiar życia.

Z Sokołowskiego śle nam korespondent skargę na drogi i przejazdy przez plant kolejowy, przytem wiązkę doniesień o chorobach zaraźliwych i rozbojach — co wszystko razem przekonywa, że ta okolica podobna do innych. Jedynem przykrem urozmaiceniem tego obrazu jest zuchwały dziad, który we wsi Mursach pod Sterdynią, wszedł do chaty wiejskiej i, korzystając z nieobecności rodziców, dopuścił się gwałtu na ich 11-letniej dziewczynie. Zbrodniarza ujęto, ofiara w szpitalu.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Pogrzeb Kraszewskiego odbędzie się d. 18 b. m. w Krakowie, dokąd ciało przywieziono z Genewy.

Matejko oświadczył komitetowi, zbierającemu składki na kupno jego obrazu, że zamiast „Sobieskiego," darowanego papieżowi, da „Kościuszkę pod Racławicami." W długiej przemowie oświadczył, że do tego tematu przywiązał się oddawna, a choć dla malarza barwne i błyszczące materye są wdzięczniejsze, on zrzeka się tej korzyści artystycznej i przedstawi to, co „narodowi najmilsze." Na obrazie ma być umieszczony także Kołątaj, choć w bitwie udziału nie brał.

Paszporty zagraniczne. Dzienniki rosyjskie podają szczegóły o opłacie paszportów zagranicznych. Za pierwsze trzy miesiące pobytu za granicą 10 rs., za następne trzy po 15, za trzeci po 20, za dalsze po 25, następnie zaś już stale po 30 rs. *kruszcowych.* Zatem w ciągu jednego roku 210, w drugim i następnych po 360 rubli kruszc. Nadto pobierane będzie na fundusz inwalidów od każdej wymienionej w paszporcie osoby po rs. 4 kop. 50 kredytowych przy terminie sześciomiesięcznym paszportu i po 10 rs. przy terminie jednorocznym. Nareszcie za każdy paszport po 3 rs. opłaty za blankiet, a za przetrzymanie paszportu kara w stosunku 25% w walucie kruszcowej. Tym sposobem paszport na jeden miesiąc kosztować będzie rs. 26, na dwa — 43 itd.

Szkoła weterynaryjna w Warszawie z początkiem roku szkolnego będzie zamieniona na instytut wyższy.

Szkoły. Okręg naukowy warszawski wydał pozwolenie na otwarcie następujących zakładów naukowych: p. Salomei Karasowej na szkołę dwuklasową żeńską dla dzieci wyznania mojżeszowego, p. Gustawowi Bergmanowi w Żyrardowie na jednoklasową mieszaną, p. Kazimierzowi Szołowskiemu we wsi Sójki, w pow. kutnowskim, przy hucie szklannej na jednoklasową mieszaną; p. Budzyńskiej w Wodzisławiu, w pow. jędrzejowskim na jednoklasową żeńską i p. Tajbie Zylbergowej w Radomiu na jednoklasową żeńską dla dzieci wyznania mojżeszowego.

Nowoje Wremia donosi, że w roku szkolnym 1887/8 do instytutu inżynierów komunikacyj w Petersburgu kandydaci przyjmowani będą na trzeci kurs i to jedynie w liczbie 60. Ci, którzy ukończyli wyższe zakłady naukowe, obowiązani będą zdać egzamin z przedmiotów wykładanych na pierwszych dwóch kursach, dziś już zniesionych. Ci zaś, którzy ukończyli tylko gimnazyum, muszą zdawać jeszcze z matematyki i fizyki. Z liczby 60 wakansów, 33 pozostawiono dla kandydatów z okręgów naukowych petersburskiego i moskiewskiego, a 27 dla młodzieży ze wszystkich innych okręgów.

W Nowogródku (gub. mińska), jak donosi *Kraj*, rozlepione zostało na rogach ulic rozporządzenie urzędowe, ażeby na zgromadzeniach publicznych, w biurach, nawet prywatnych, na przechadzkach, widowiskach, w kawiarniach, cukierniach i sklepach, nie mówiono po polsku. Rozporządzenie to, przez „sprawnika" (naczelnika powiatu) Stromiłowa podpisane, ostrzega, że niewykonywający powyższego rozkazu do odpowiedzialności pociągani będą.

Lasy. Zatwierdzony został projekt ustanowienia w pewnych guberniach państwa komisyj do prowadzenia robót leśnych. W r. b. komisye leśne będą się składały ze 133 urzędników, posiadających specyalne wykształcenie, 196 geometrów i 23 urzędników niższych. Na utrzymanie ich przeznaczono 315,660 rs., na zalesienie gruntów, na zakup nasion itd. 195,150 rs.

Głód. Nieurodzaje i upadek ekonomiczny sprowadziły głód na ludność obwodu jakuckiego w Syberyi wschodniej.

W Poznaniu dr Wicherkiewicz od d. 4 z. m. badał oczy dzieci w jednej ze szkół tamtejszych i znalazł, iż pomiędzy 1,400 dziećmi jest 200 chorych na egipskie zapalenie oczu.

Katastrofa na morzu. Parowiec angielski „Eagle" zatonął w drodze do Halifad. Cała załoga, z 200 ludzi zginęła w falach.

Dla siebie. Zmarły w Brukselli baron de Mesuill, jeden ze znanych sportsmanów na torze brukselskim i paryskim, zapisał 2,000,000 fr. na pomnik własny. Brat wystąpił z akcyą o zwalenie testamentu.

Przemysł tytoniowy. W roku zeszłym w państwie rosyjskiem było 375 fabryk wyrobów tytoniowych (przed 10 laty było ich 299). Opłacana przez nie akcyza wyniosła prawie 20,000,000 rs. (w roku 1876 — 10,683,893 rs.).

Prelekcye Lenartowicza, wypowiedziane z katedry uniwersyteckiej w Bolonii, zostały ogłoszone drukiem we Florencyi, nakładem wydawcy Barbery, p. t. „Sul caraettere della poesia polono-slava, conferenze di Teofilo Lenartowicz." Dziełko zawiera ośm odczytów. Pierwszy poświęcony Kopernikowi, trzy następne Kochanowskiemu, piąty Malczewskiemu, w szóstym mowa o *Konradzie Walenrodzie*, w siódmym o odrębnym charakterze poezyi polskiej i rosyjskiej, w ósmym przedstawiony stan Polski w r. 1831.

Czytelnia polska w Tomsku powstała przed kilku miesiącami ze składek dobrowolnych. Nie mając odpowiedniego funduszu na zakup książek beletrystycznych i elementarnych, odwołuje się do ofiarności ziomków. Redakcya *Tygodnika ilustrowanego* ogłasza gotowość pośredniczenia w przesyłaniu książek.

Piśmiennictwo. Z powodu 300-letniej rocznicy śmierci Stefana Batorego wychodzą w Węgrzech broszury o tym królu.

Obraz H. Siemiradzkiego „Chrystus w domu Maryi i Marty" znajduje się obecnie w Petersburgu na wystawie akademickiej.

Na dochód trzeciej szwalni Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, odbyło się d. 12 b. m. widowisko dramatyczne w Teatrze Wielkim. Udział przyjęli pp. Żółkowski, Rapacki i Popiel-Święcka.

Z uniwersytetu. Ministeryum wychowania publicznego zatwierdziło wybór dziekanów w uniwersytecie warszawskim: prof. Budiłowicza na wydziale filologicznym, Samokwasowa — na prawnym. Nadzwyczajny profesor hygieny w tutejszym uniwersytecie dr. Kapustin mianowany profesorem zwyczajnym hygieny w uniwersytecie kazańskim. Kondakow, kandydat uniwersytetu w Petersburgu, zaliczony do ministeryum wychowania publicznego, mianowany laborantem w uniwersytecie warszawskim.

Sprzedaż biblioteki. Pozostała po znanym historyku niemieckim Leopoldzie Ranke bardzo cenna biblioteka, złożona przeważnie z dzieł treści historycznej i filozoficznej, sprzedana będzie za granicę, gdyż w Niemczech nie znalazł się dotąd nabywca.

Nowa linia kolejowa galicyjska Stryj-Beskid, ważna pod względem handlowym i strategicznym, otwartą została d. 4 b. m.

Teatry. Podług nowego rozporządzenia policyjnego, dyrektorowie teatrów prowincyonalnych, chcący dawać widowiska w letnich teatrzykach w Warszawie, muszą wpierw złożyć kaucyi 2,000 rs., która to suma stanowić ma rękojmię wypłacalności względem artystów i innej służby teatralnej.

Przedstawienia rosyjskie zwolnione zostały od podatku na rzecz teatrów warszawskich.

Zmarli. Ludwik Wolski, w Wiedniu d. 3 b. m. Bardzo zdolny rzecznik i wielce wykształcony prawnik galicyjski. Ur. 1883 r.; kształcił się we Lwowie. Pierwsze prace pomieszczał w *Dzienniku literackim*. Pisywał wówczas poezye, recenzye, rozprawy społeczne i prawnicze. W r. 1863 osiadł w Brzeżanach jako adwokat, gdzie założył towarzystwo zaliczkowe. Po pięciu latach przeniósł się do Lwowa. Do sejmu wybrany z miasta Drohobycza, przez trzy lata pracował jako poseł. Następnie w Paryżu dał się poznać w kołach polskich i francuskich jako zdolny prelegent. Z prac jego wybitniejsze: filipiki przeciw Ziemiałkowskiemu,

spory z Szujskim, oraz szereg mów parlamentarnych, drukowanych razem z mowami Hausnera.

— Dr Roman May, w Poznaniu, chemik i nauczyciel. Założył w Starołące pod Poznaniem fabrykę superfosfatów, która wytrzymuje konkurencyę z takiemiż fabrykami niemieckiemi.

— Michał Jaszewski, inżenier-górnik, w Charkowie. Pisał „O pożarach w kopalniach węgla,“ „O rezultatach badań górniczo-geognostycznych w sprawie węgla kamiennego.“ W Charkowie redagował *Tygodnik górniczy*. Wydał „Rezultaty zjazdu przemysłowców górniczych“ w Charkowie.

— Teresa Binemsonowa, pianistka, wychowanica konserwatoryum w Warszawie. Koncertowała we wszystkich niemal stolicach Europy i w Ameryce.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Boi. Szczygł. w Gryfii. Niestety, za wiele mamy tego rodzaju żądań i wszystkim musimy odmawiać, bo nie jesteśmy w możności ich spełnić.

X. X. Prosimy ponownie o odebranie z Administracyi naszej listu w przedmiocie książki p. D.

Zulusowi. Utwór naturalnie ładny, jak wszystkie prace tego autora, ale przekład bardzo niepoprawny.

P. Emilowi Klęt. Gdyby myśl utworu była mocniej wyakcentowaną, miałby on wartość pracy istotnego talentu. „Lekcya“ prawie znika w tym obrazku.

P. Cypr. R. Są to tony zbyt *luźne*, tak luźne, że związać ich nie mogliśmy.

P. K J. Smokowi. Praca bardzo słaba.

O. S. Nie dla nas.

Jednej z czyteln. Tłomaczenie nie dość staranne.

P. S. J. Takim motywom ogranym trzeba przynajmniej dawać świeżą formę, której w utworach Pańskich nie ma.

P. Adolf. Nielub. Zwracamy.

Dr. Robert. Sz. w P. Drukować nie będziemy.

P. Maryanowi A. Prosimy o odebranie rękopisu, który jest dla nas nieprzydatny.

Gentlemanowi. Nie dla nas — pośredniczyć nie możemy.

P. L. L. Nie.

Autorowi „Nocn. wsp.“ — rękopis do zwrotu.

P. Ed. Dęb. Prosimy o przybycie do redakcyi naszej.

P. August. Z. w Kr. Nie.

P. Adamowi G. w Kazaniu. Pomijając powody spóźnienia się odpowiedzi, zaznaczamy tylko, że z nadesłanego materyału nie mogliśmy zrobić użytku.

Jakób. Osk w Łodzi. Prosimy o adres, gdyż list, wysłany pod wskazanym, zwrócono nam.

S. Jeżeli Pan chce się zajmować filozofią nawet z amatorstwa i rozumieć jej dzieje, trzeba poznać przynajmniej główne systemy, a więc przeczytać najważniejsze dzieła mistrzów. Hist. fil. Lewesa byłaby dla Pana przewodnikiem najodpowiedniejszym. Zresztą zastrzegamy, że żadna rada ogólnikowa nie zastąpi systematycznego wykształcenia.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Апрѣля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.